

JĘZYK KSZTAŁTUJE ŚWIADOMOŚĆ | HEREZJE GOSPODARCZE PIS | CO Z TYM SMOGIEM?

nasze Czasopismo

Nr 5/2018 • www.naszezasopismo.com.pl • ISSN 2543-7143

INDEKS 417105 • cena: 5zł (w tym VAT 8%)



W GDAŃSKU

NIE CZUJĘ SIĘ KIMŚ OBCYM

Wywiad z p. Cornelią Pieper, niemiecką konsul generalną w Gdańsku



Stypendium Wolności



Elżbieta Pawłowicz
autorka Stypendium Wolności,
współzałożycielka
stowarzyszenia
Wolność
Równość
Demokracja

Kochani,

Zapowiadaliśmy w poprzedniej odsłonie Stypendium Wolności, że będziemy je kontynuować z myślą o najbardziej aktywnych działaczach, którzy wymagają doraźnej pomocy. Bywają między nami osoby w katastrofalnej sytuacji materialnej, schorowani lub w takim wieku, że brak jest możliwości znalezienia sobie choćby tymczasowego zajęcia. Wiemy o nich i staramy się im pomagać w miarę naszych skromnych możliwości.

Pragniemy stworzyć coś w rodzaju funduszu samopomocowego, który stanowiłby nagrodę materialną dla wspomnianych wyżej osób za ich wysiłek na rzecz dobra wspólnego: wolnej, demokratycznej, praworządnej Polski.

Jesteśmy opozycją uliczną działającą razem od końca 2015 roku we wszystkich miastach całej Polski. Pokażmy, że umiemy być solidarni w ofiarowywaniu pomocy również teraz w trudniejszych czasach.

Temu służy obecna nasza zrzutka, czyli Stypendium Wolności. Dedykujemy ją właśnie im, aktywnym działaczom, którym leży na sercu dobro wspólne, a którzy

właśnie z tego powodu, że całym sercem angażują się we wspólne przedsięwzięcia, zaniedbali swoje życie zawodowe i prywatne, i w konsekwencji wymagają natychmiastowego wsparcia.

Obecna nasza zrzutka będzie również jedną z form zdobywania funduszy na cele statutowe związane z naszą działalnością prodemokratyczną. Finalizujemy rejestrację Stowarzyszenia Wolność Równość Demokracja, którego jednym z priorytetów - oprócz niesienia pomocy - jest także wspieranie i współpraca ze środowiskami o podobnych celach, a także przygotowanie obywateli do zbliżających się wyborów, w szczególności budowanie postaw pro frekwencyjnych w obliczu całej wyborczej serii (kampania samorządowa, parlamentarna, czy do Parlamentu Europejskiego). Konieczna okazała się powszechna edukacja w dziedzinie postaw obywatelskich, samokształcenie, wykłady, warsztaty, ogólnodostępna lektura, szerzenie wiedzy na temat trójpodziału władzy, który został bezlitośnie zniszczony oraz jak istotna jest praworządność dla funkcjonowania państwa i jego międzynarodowego statusu.

Zapraszamy Państwa do współpracy, liczymy na Waszą serdeczność i życzliwe potraktowanie naszej inicjatywy, a także wsparcie naszych wysiłków. Wierzmy, że wspólnymi siłami uda się nam zrealizować to wielkie zamierzenie, którym jest przywrócenie demokracji i praworządności w naszej Ojczyźnie.

Elżbieta Pawłowicz



znajdź nas:

<http://wrd.org.pl>

<https://www.facebook.com/WolnoscRownoscDemokracja/>

<https://www.facebook.com/groups/WolnoscRownoscDemokracja/>



**Stypendium
Wolności**

<https://zrzutka.pl/3yv8h2>

nasze czasopismo



rys. Tadeusz Krotos

Sprostowanie

W numerze 01/2018 podaliśmy błędnie Pana Tomasza Jabłońskiego, jako autora zdjęcia okładkowego oraz zdjęć w artykule „Pozostawmy Puszcę naszym dzieciom”. Autorką zdjęć jest Pani Małgorzata Klemens. Przepraszamy Panią Małgorzatę za pomyłkę.

Dziękujemy też Panu Marcinowi Nowakowi za wyrażenie zgody na wykorzystanie zrobionego przez niego zdjęcia do artykułu „Pozostawmy Puszcę naszym dzieciom”.

W tym samym numerze podaliśmy błędnie Panią Tannę Jakubowicz, jako autorkę zdjęcia do artykułu „Wobec brunatnej fali – Moc Kobiet”. Autorką zdjęcia jest Pani Katarzyna Kwiatkowska. Przepraszamy Panią Katarzynę za pomyłkę.

Nr 05/2018

TEMAT MIESIĄCA

- 14 Rozmowa z p. Cornelią Pieper, niemiecką konsul generalną w Gdańsku:
W GDAŃSKU NIE CZUJĘ SIĘ KIMŚ OBCYM

SPOŁECZEŃSTWO

- 12 Lech Bokszczanin: „TE PIENIĄDZE IM SIĘ PO PROSTU NALEŻAŁY”
13 Michał Dworzyński: DLACZEGO OBCHODZIMY ŚWIĘTO PRACY?
18 Piotr Kleczkowski: CO Z TYM SMOGIEM?
20 Katarzyna Kacprzak, Jacek Okoń, Marek Klimkowski, Ewa Krawczyk-Dębiec:
W ZWIĄZKU ZE ZWIĄZKIEM ZAWODOWYM
24 Anna Schwerin: TRUDNE RELACJE ZE SPEKTRUM
26 Włodzimierz Witakowski: SENIORZY POTRZEBUJĄ NOWYCH MIESZKAŃ
34 Jerzy Cichowicz: UTRACONA NAGRODA
37 Konrad Koniarz: ROWEREM NA PRAGĘ

POLITYKA

- 8 Jacek Władysław Bartyzel: KOSZTOWNA KLĘSKA 500+

GOSPODARKA

- 6 Łukasz Koska: PISANCJUM CZYLI HEREZJE GOSPODARCZE
STRÓŻÓW MORALNOŚCI
10 Dr Dariusz Maciej Grabowski: SZARA STREFA PYTA „W CO SIĘ BAWIĆ”?

PRAWO

- 28 Piotr Skorupski: NAJWYŻSZA PORA NA UREGULOWANIE
ZWIĄZKÓW PARTNERSKICH
30 Zbigniew Sarata: WŁASNOŚĆ INACZEJ
31 Andrzej Zaleski: POLSCY PRZEDSIĘBIORCY POWINNI ZJEDNOCZYĆ SIĘ

FELIETON

- 5 Mateusz Kijowski: JĘZYK KSZTAŁTUJE ŚWIADOMOŚĆ

KULTURA

- 32 Anna Schwerin: EDUKACJA BEZ TABU – CZY TO TAKIE TRUDNE?

HUMOR

- 36 Michał Ruszczyk: MISIATA DZIESIĄTKA

TURYSTYKA

- 38 Andrzej Cur: GDYBY BRUKSELA NIE BYŁA ŚWIATOWĄ STOLICĄ CZEKOLADY...

nasze czasopismo

ADRES: www.naszezasopismo.com.pl, redakcja@naszezasopismo.com.pl

REDAKTOR NACZELNY: Przemysław Wisiński

REDAKCJA: Dorota Bilewicz-Bandurska

SEKRETARZ REDAKCJI: Konrad Koniarz

PROJEKT GRAFICZNY PISMA: Piotr Woźniak

PROJEKT LOGO I OKŁADKI: Piotr Woźniak

W NUMERZE PISZĄ: Jacek Władysław Bartyzel, Lech Bokszczanin, Jerzy Cichowicz, Andrzej Cur, Michał Dworzyński, Marcin Gołaszewski, Dr Dariusz Maciej Grabowski, Katarzyna Kacprzak, Mateusz Kijowski, Piotr Kleczkowski, Marek Klimkowski, Konrad Koniarz, Łukasz Koska, Ewa Krawczyk-Dębiec, Jacek Okoń, Michał Ruszczyk, Zbigniew Sarata, Anna Schwerin, Piotr Skorupski, Włodzimierz Witakowski, Andrzej Zaleski

FOT. NA OKŁADCE: Молодан Анна

Jeśli chcą Państwo zgłosić nam ciekawy temat, zauważoną nieprawidłowość lub poruszyć sprawę dotyczącą tego, co jest Państwu bliskie:

redakcja@naszezasopismo.com.pl

Pisząc do nas, mają Państwo prawo do zachowania anonimowości.
Materiały niezamówione przez redakcję nie podlegają zwrotowi.

WYDAWCA: PINIA Sp. z o.o.
ul. Chmielna 2/31, 00-020 Warszawa

PINIA

ZARZĄD WYDAWNICTWA:

Ewa Krawczyk-Dębiec (Prezes Zarządu), Anna Lewicka, Andrzej Cur
Darowizny można wpłacać na rachunek nr: 45 1750 0012 0000 0000 3303 0606

REKLAMA: marketing@naszezasopismo.com.pl

DRUK: Foldruk-Folion Sp.j.

WWW naszezasopismo.com.pl

f facebook.com/CZASOPISMO

t twitter.com/NaszeCzasopismo

z zrzutka.pl/mx5xm8



MATEUSZ KIJOWSKI

FELIETON

JĘZYK KSZTAŁTUJE ŚWIADOMOŚĆ

Karol Marks głosił, że byt kształtuje świadomość. Dzisiaj ta teza już chyba mocno przebrzmiała. Jak większość założeń marksizmu, leninizmu i komunizmu nie wytrzymała próby czasu. Ale nie o determinizmie ekonomicznym chcę dzisiaj rozmawiać, a raczej o „determinizmie językowym”.

Ostatnie dwa miesiące były szczególnie ważne w historii Polski z dwóch powodów. To one dobitnie potwierdziły, że mimo niewiarygodnej poprawy bytu przez ostatnie pół wieku nasza świadomość jest podatna na te same wpływy ze strony języka. Wystarczy kilka słów kluczowych, żeby obudzić te same emocje, te same procesy społeczne, te same demony. To, co 50 lat temu obudził Mieczysław Mochar walczący o władzę w PZPR, w 2018 r. obudzili aparatchycy rządzący dzisiaj monopartią. Tak jak ówczesny Pierwszy Sekretarz – Władysław Gomułka, tak i dzisiejszy Pierwszy Sekretarz – Jarosław Kaczyński – nie powstrzymał rozlewającej się mowy nienawiści. Nawet jeżeli nie tak wyraziście ją wspierał. Nie można mieć jednak wątpliwości, że bez jego zgody i wiedzy nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło. Chyba że założymy jego totalną demencję i brak kontroli nad własnym otoczeniem.

O antysemityzmie z 1968 i o antysemityzmie z 2018 r. powiedziano już wiele. Pokazano pokrewieństwo i mechanizmy dziedziczenia oraz sposób zaprzęgnięcia go do celów politycznych. Ale mnie ciągle niepokoi kwestia języka. Przykłady sprzed pół wieku są niejako spreparowane i gotowe do badania, ale przez ewidentną analogię opisują również dzisiejsze „wydarzenia”. Wydarzenia piszę w cudzysłowie, bo niby dzisiaj wszystko jeszcze pozostaje w sferze języka. Ale on przecież kształtuje świadomość.

Język nienawiści używany przez politycznych aktywistów został opisany. Muzeum Polin pokazało na wystawie „Obcy w domu”, jak niewiele różni się język tamtych czasów od współczesnego. Mnie martwi to, że elementy tego języka – dzielącego i piętnującego w jakiś sposób – pojawiają się również po stronie świadomości i celowo walczącej z antysemityzmem. Wyrazem tego jest pytanie zadane z sali w czasie spotkania organizowanego przez B’nai B’rith w muzeum Polin z okazji 50. rocznicy marca ’68. Jeden z uczestników zapytał panelistę – czym się różni Polak od etnicznego Polaka.

Wiem, świadomość zmienia się powoli. Wiem, język nie wszystko jest w stanie udźwignąć od razu. Wiem wreszcie, że wiele konstrukcji językowych wydaje się początkowo sztucznych, kiedy chcemy celowo kształtować przez nie rzeczywistość. Wielu nie zgadza się na tak zwane żeńskie końcówki, bo

brzmia sztucznie. Ale jednak sama dyskusja pomaga ujawnić problem i szukać rozwiązania.

Chciałbym otworzyć dyskusję na temat – jak mówić o relacjach polsko-żydowskich, żeby nie stygmatyzować i nie dzielić, nie przeciwstawiać, ale i nie równać na siłę. Bo chociaż wszyscy jesteśmy Polakami, to przecież jesteśmy różnorodni i to nas wzbogaca.

Nie mam gotowego rozwiązania. Wierzę, że umiemy je w publicznej debacie znaleźć. A problem jest niebagatelny. Jak zachować szacunek dla odrębności kulturowej Polaków różnego pochodzenia, a jednocześnie pokazać ich integralność polską? Polak pochodzenia żydowskiego jest dokładnie tak samo Polakiem, jak Polak pochodzenia wielkopolskiego, tatarskiego, pomorskiego czy białoruskiego. Tylko tego jeszcze nie umiemy wyrazić w naszym języku. Określenie „Polak pochodzenia...” naznacza, zwłaszcza kiedy zestawiamy je z „Polak etniczny”. No i... co to miałyby znaczyć – Polak etniczny? Czy mieści się w tym określeniu etniczny mieszkaniec Pomorza Zachodniego, Śląska, Kaszub, Mazur, Podkarpacia, Wielkopolski, Podlasia... można by długo wymieniać regiony zróżnicowane historią, kulturą, tożsamością. Jak o tych różnicach mówić, żeby nie piętnować? ■



rys. pixabay.com

PISANCJUM CZYLI HEREZJE GOSPODARCZE STRÓŻÓW MORALNOŚCI

Tak jak za swych poprzednich rządów, PiS nie ma sensownych recept gospodarczych na Polskę ani ekspertów ekonomicznych. Ma za to pomysły, jak wydoić gospodarkę, dać zarobić koleśiom oraz uzyskać efekt propagandowy. Problem w tym, że to się może źle skończyć dla Polski.

Łukasz Koska



fot. pixabay.com

Jarosław Kaczyński ma „krótką ławkę” specjalistów i brak autentycznie dobrych rozwiązań gospodarczych. Podejmowane przez PiS decyzje są często szkodliwe dla Polski i trącą zwykłą herezją i prywatą.

W kategorii szkód makro wygrywa katastrofalne obniżenie wieku emerytalnego. Według Ewy Lewickiej-Banaszak, współtwórczyni reformy emerytalnej z 1999 r., „obniżenie wieku emerytalnego to najbardziej szkodliwa dla obywateli i gospodarki decyzja polityczna PiS”.

Rządząca partia twierdzi, że do 2019 r. łączne koszty obniżenia wieku emerytalnego wyniosą ok. 40 mld zł. Nie podaje jednak informacji, że do 2030 r. wyniosą one już 250 mld zł, a do 2050 r. aż 1073 mld zł! O tak astronomiczne kwoty wzrosną dopłaty budżetu do łatania tzw. dziury w FUS.

Prezenty z opóźnionym zapłonem

PiS nie zdecyduje się na drastyczne obniżenie emerytur, za to oswaja nas z pomysłem emerytur obywatelskich dla

osób niepracujących i nisko zarabiających (elektoratu PiS) kosztem emerytur odłożonych w ZUS przez osoby z wyższymi pensjami. Prowadzi to do buntu młodszych pokoleń przeciwko coraz droższemu w utrzymaniu starszym osobom. Kolejny program „Rodzina 500+”, który kosztuje rocznie 24,5 mld zł, jest niesprawiedliwy (m.in. nie wspiera jedynaków oraz samotnych rodziców), a ponadto, według „Rzeczpospolitej”, spowodował odejście z rynku pracy ok. 50 tys. kobiet, co je wpędzi w biedę na emeryturze.

PiS dba o swój elektorat, dlatego utrzymuje dotowanie węgla kosztem wypowiedzenia kontraktów dla energetyki odnawialnej, co skutkuje wstrzymaniem 99,2 proc. tych inwestycji. Inwenergy, jeden z największych inwestorów w energetyce odnawialnej, grozi Polsce procesem o 2,5 mld zł odszkodowania za celowe działania na szkodę sektora, który wskutek decyzji rządu jest na skraju bankructwa.

Suweren płaci za wszystko

Wydatki budżetu rosną, więc PiS musi podnosić podatki. Podatek bankowy przyniósł 4,9 mld zł w 2017 r., ale rządu nie interesuje, że przez to sektor podnosi marże kredytów (o 0,3-0,4 proc. według danych Centrum AMRON).

Podatek handlowy, szkodliwy głównie dla polskich sieci handlowych, na razie został wstrzymany, ale PiS wciąż zamierza go wprowadzić. Wprowadzony zakaz handlu w niedziele także jest szkodliwy (obniża obroty i rentowność, np. gastronomii czy kin, które żyją głównie ze sprzedaży w weekendy), do tego nieszczerły (firmy go obchodzą, np. twierdząc, że obsługują pasażerów). Spowodował od poza tym nieuzasadnione uprzywilejowanie stacji paliw (zaczynają sprzedawać produkty, których nie będzie teraz można kupić w tradycyjnych sklepach). Według badania Kantar TNS, aż 76 proc. badanych popierało pomysł dwóch wolnych niedziel dla pracowników bez konieczności zamykania sklepów, jednak PiS-u zignorował opinie środowisk eksperckich, że wystarczą zmiany w Kodeksie Pracy.

Zakaz swobodnego obrotu ziemią rolną z 2016 r. również nie ma racjonalnego uzasadnienia i ogranicza konstytucyjne prawo do dysponowania swoim majątkiem, za to uprzywilejowuje Kościół. PiS nie zamierza przekazać samorządom funduszy na koszty „deformy” edukacji szacowane na 1 mld zł, co spowodowało spadek stopy inwestycji w 2017 r. z prognozowanych 25 proc. do 18 proc. Nowelizacja prawa farmaceutycznego wprowadziła zasadę „apteka tylko dla aptekarza” oraz tzw. demografię i geo-

ografię aptek, co mocno ogranicza konkurencję w branży. Innym przejawem złych decyzji jest radykalne podniesienie opłat za użytkowanie wód, co przynosi sygnały o zamykaniu portów jachtowych na Mazurach.

Ekscentryczne rozstrzygnięcia

Oprócz decyzji systemowych, władza ma na swoim koncie również wiele pojedynczych, podobnie szkodliwych działań. Anulowanie kontraktu na Caracale za 13,5 mld zł wstrzymało modernizację polskiej armii i skłóciło Polskę z sojusznikami. Media publiczne muszą być ratowane kroplówką 980 mln zł z pieniędzy podatników, bo straciły wiarygodność i widzów gdy stały się tubą propagandową PiS.

Zamówienie przez PŻB promu za 450 mln zł jest wyjątkowo nierynkowym gestem wobec Stoczni Remontowej Gryfia, która nie ma ani projektów promu, ani doświadczenia w ich budowie. Przygotowywane są medialne propagandowo, ale kosztowne i kontrowersyjne inwestycje, jak Centralny Port Komunikacyjny za 35 mld zł czy przekop Mierzei Wiślanej za blisko 1 mld zł.

Przy tych kwotach błędne takie absurdy, jak umiejscowienie siedziby stoczni wojennej w Radomiu. Niedawno media informowały o pomysle centralnej inwigilacji treści w internecie - tzw. MaBeNy. Ogólniki tzw. Planu Morawieckiego mogą być kolejną furtką do trwonienia państwowych funduszy, np. na rozwijanie produkcji samochodów elektrycznych, w których Polska nie ma żadnych osiągnięć. Ponosimy również niepoliczone straty ze zrujnowania reputacji polskich stadnin koni, rzezi drzew, zniesienia małego ruchu granicznego z obwodem kaliningradzkim czy niszczenia państwa prawa.

Dojna zmiana

Osobnym tematem jest skok aparatczyków PiS na publiczne stanowiska i pieniądze – „wykastrowanie” ustawy o służbie cywilnej, mnożenie stanowisk urzędniczych, obsadzanie „Misiewiczza-

mi” spółek Skarbu Państwa, nagrody przyznawane sobie przez rząd, wykorzystywanie samolotów wojskowych przez Beatę Szydło i Antoniego Macierewicza czy kart kredytowych przez urzędników.

„Dojenie” odbywa się też przez zrzutkę publicznych spółek na Polską Fundację Narodową wspierającą propagandę PiS. Na starcie PFN otrzymała 100 mln zł, a zastąpiła z kampanii billboardowej „Sprawiedliwe Sądy”. Według mediów, PFN kupiła we Francji jacht pełnomorski za 5 mln zł (pomimo tańszych propozycji budowy jachtu w Polsce), który za kolejne 20 mln zł ma pływać wokół świata w celu promowania Polski. W tym kontekście 611 tys. zł wydane przez senator Annę Anders na podróże zagraniczne to drobniaczek. Najszlachetniejsze jest jednak finansowanie przez państwo biznesów ojca Rydzyka, łączną otrzymaną przez niego kwotę szacuje się na 70 mln zł.

Powrót do komuny

Z działań PiS przebijają najgorsze wzorce polityki: etatyzm, nacjonalizacja, centralne sterowanie, interwencjonizm, dotowanie nierentownych decyzji i sektorów, podnoszenie podatków, nepotyzm i populizm. Tak działała post-komuna, z którą rzekomo PiS chciał walczyć.

Niepokojące jest też stopniowe niszczenie małej przedsiębiorczości, na której opiera się polska gospodarka. PiS stosuje ostry rygor, przypominający momentami metody Stalina, gdy zaciska pętlę absurdalnych przepisów i zasad na naszych przedsiębiorcach. Czy za granicą takie metody są stosowane, czy polscy przedsiębiorcy są mniej uczciwi? Jeśli nie, to znaczy, że PiS nie potrafi traktować Polaków inaczej niż potencjalnych złodziei i frajerów, a gospodarka to tylko przykład zamordystycznej metodologii, którą PiS zastosuje także w innych sferach.

Oby efekty nie były jak za Gierka, po którym zostało mnóstwo nietrafiionych inwestycji i kolosalne długi do spłacenia. Wtedy znów wielu powie: „Polak mądry po szkodzie”, choć niestety do dziś wielu uważa tamte czasy za najlepszą epokę w najnowszej historii Polski. ■

KOSZTOWNA KLĘSKA 500+

Rządowa propaganda przedstawia program 500+ jako sukces i socjalną zdobycz. W rzeczywistości zdecydowana większość społeczeństwa finansowo na nim traci, ponosząc jego horrendalne koszty poprzez podatki. A deklarowane cele 500+ w najmniejszym stopniu nie zostały zrealizowane.

Jacek Władysław Bartyzel



www.flickr.com - P. Tracz, Kancelaria Premiera - Konferencja prasowa o programie Rodzina 500+.

Głównym problemem programu Rodzina 500+ są kolosalne koszty. Finansowanie pochłania rocznie ok. 24 miliardów złotych, czyli 1,3% PKB. Jeśli program ten utrzyma się do końca kadencji, pochłonie niemal 100 miliardów. Wprowadzenie tego programu spowodowało, że nakłady na ogólnie pojmowaną pomoc społeczną wzrosły o jedną trzecią i stanowią czwartą największą (po systemie emerytalno-rentowym, edukacji i zdrowiu) pozycję w wydatkach państwa.

Zapłacą podatnicy

Pieniądze te oczywiście nie spadają z nieba. Wszystkie wydatki publiczne finansowane są przez podatników – dzisiejszych, lub, w wypadku zadłużania państwa, także przyszłych. Rządowa propaganda mówi o tym, jak wielu jest beneficjentów programu 500+. Istotnie, pieniądze rozdawane są rodzicom prawie 4 milionów dzieci. Półtora miliona rodzin kwalifikuje się do zapomogi na pierwsze dziecko. Mamy jednak 2,9 miliona dzieci, którym 500+ nie przysługuje, ale nie to jest istotne, gdy patrzemy na ten program z perspektywy podatnika.

O wiele istotniejsze, że każdy obywatel, który nie korzysta z 500+, jest przez ten program poszkodowany. Na podatki składamy się wszyscy – nie tylko płacąc daniny od dochodów, ale także na ponad 100 innych sposobów (dokładnej liczby podatków nie potrafiło oszacować Biuro Analiz Sejmowych). Nawet więc osoby niezarabiające płacą np. podatki pośrednie, takie jak VAT. Niby to oczywiste, problem w tym, że mało kto uświadamia sobie związek między wydatkami takimi jak 500+ a podatkami, które płacimy. Średnio jednego Polaka (wliczając także dzieci i emerytów) finansowanie programu kosztuje rocznie około 660 zł. Dzieliąc koszt wyłącznie na osoby aktywne zawodowo to już 1450 zł. Gdyby więc 500+ zlikwidować, bez zmiany deficytu budżetowego można znacząco zmniejszyć każdemu Polakowi obciążenia podatkowe.

Alternatywnie, 25 miliardów zł rocznie to 45 proc. wpływów z podatku PIT. Oddanie podatnikom tych pieniędzy pozwoliłoby zmniejszyć obecne stawki z 18 i 32 proc. do około 10 i 17 proc., i to bez uwzględniania efektu tzw. krzywej Laffera (po jej uwzględnieniu obniżka mogłaby być większa). Gdyby zamiast tego obniżkę przełożyć na podatek VAT, staw-

ki mogły by spaść do około 21 proc. (z 23proc. obecnie) i 6 proc. (z 8proc.).

Zaskakuje, że interesów podatnika nikt nie broni. Nawet partie opozycyjne tak bardzo uwierzyły w mit, jakoby nie można było mówić o likwidacji 500+, żeby nie przegrać wyborów. Jest raczej przeciwnie – wystarczy bardzo czytelny przekaz, by pokazać, że zdecydowana większość społeczeństwa traci na tym programie, a likwidacja połączona z obniżką podatków może oznaczać ogromne korzyści nie tyle dla budżetu państwa, ale dla budżetów gospodarstw domowych.

Pomoc dla najbiedniejszych

Istnieje spora grupa osób potrzebujących pomocy. Pamiętać jednak należy, że aby pomoc nie deprawowała, musi być ona udzielana na zasadzie wyjątku, a nie reguły. Powszechny program jak 500+ jest nie do pogodzenia z tą zasadą. Niezależnie od 500+ można zaproponować przemyślany program wsparcia najuboższych rodzin zaprojektowany tak, by dawał on realną pomoc wąskiej grupie najbiedniejszych, a jednocześnie nie zachęcał do bierności zawodowej. PiS przywoływał swego czasu statystyki (jak się później okazało, nieprawdziwe) jakoby program 500+ zredukował ubóstwo skrajne u dzieci o 94 proc. Przyjmując jednak dane z tych statystyk, ubóstwo to dotyczyło poniżej 700 tys. dzieci. Gdyby więc uznać za usprawiedliwione obciążenie podatnika kosztami wyciągnięcia tych dzieci ze skrajnego ubóstwa, łatwo policzyć, że program ten powinien kosztować trochę ponad 4 miliardy złotych rocznie (500+ to 6000 zł rocznie na jedno dziecko). Pozostałe 21 miliardów trafia jednak zupełnie gdzie indziej, a przecież wśród podatników też są potrzebujący.

Cel 500+ a rzeczywistość

Program Rodzina 500+ jest więc drogim i nieefektywnym programem socjalnym. Deklarowany cel był inny – zwiększenie diety. W tym aspekcie jednak także brakuje sukcesów. Niewątpliwie demografia jest znaczącym problemem: gdy system emerytalny nadal w większości opiera się na schemacie piramidy finansowej eufemistycznie zwanym „solidarnością międzypokoleniową”, zbankrutuje on szybciej, gdy długość życia się zwiększa, a dieta maleje. Wzrost diety po wprowadzeniu 500+ był jednak niewielki. Liczba narodzin w 2016 r. wzrosła o 12,7 tysięcy w stosunku do 2015 i o kolejne 20 tysięcy w 2017 r. To oznacza aż milion złotych wydatków na 500+ w przeliczeniu na jedno dodatkowo narodzone dziecko. W dłuższej perspektywie, jako element rosnącego fiskalizmu, 500+ doprowadzi do spowolnienia gospodarczego, co na decyzje rodzin o posiadaniu potomstwa może mieć wręcz negatywny wpływ.

Negatywne skutki 500+

Negatywnych efektów społecznych i ekonomicznych widać coraz więcej. Aktywność zawodowa kobiet drastycznie spad-

ła i jest na najniższym poziomie od 20 lat. Szacunki mówią o 100 tysiącach kobiet, które wycofały się z rynku pracy. Wiele osób wprost deklaruje, że nie pracuje, bo łatwiej jest żyć za 500+ - dotyczy to zwłaszcza osób słabo wykształconych, które tak zniechęca się i do pracy i podnoszenia kwalifikacji. To demoralizujące i dla nich, i dla pracujących, którzy na finansowanie tych pierwszych płacą.

Pozorne korzyści

Lewica się cieszy, że program ten, jako największy transfer socjalny, zmniejsza nierówności. Tyle że ta radość opiera się na zupełnie arbitralnym założeniu, jakoby nierówności były z natury złe. Założenie to łatwo obalić: brak nierówności oznacza brak motywacji do poprawy swojego losu, do pracy i nauki. Często też zwolennicy 500+ mówią o przywróceniu polskim rodzinom godności. To bardzo wątpliwy argument. Z jednej strony mamy swoistą jałmużnę dla wybranej grupy (wcale niekoniecznie najbiedniejszej) – z drugiej duże kwoty siłą zabierane większości społeczeństwa. Trudno to połączyć z godnością. Jeśli zaś przez godność rozumieć możliwość zaspokojenia podstawowych potrzeb, do tego wystarczyłby nakierowany na najbiedniejszych program socjalny, o którym mowa wyżej.

Bez owijania w bawełnę

Opozycja powinna zapomnieć o licytowaniu się z PiS na socjalne rozdawnictwo – w tej kategorii PiS i tak będzie bardziej radykalny. Determinacja do likwidacji 500+ nie tylko jest etycznie i ekonomicznie uzasadniona. Postulat zakończenia programu może być nośnym hasłem, które uzyska szerokie społeczne poparcie, jeśli bilans programu będzie czytelnie przedstawiony. Kilka lat temu pewien producent pasty do zębów przeprowadził słynną reklamę z pytaniem „Czy wiesz, kto płaci za pudełko?”. Teraz warto podobnie uświadomić podatnikom, kto płaci za 500+. ■



fol. pixabay.com

SZARA STREFA PYTA „W CO SIĘ BAWIĆ”?

Dobrych podręczników do ekonomii jest sporo. Ale ani jeden nie bada „ekonomii szarej strefy”. Nie znam ekonomisty, który przedstawiłby powiązania i współzależności, siły oddziaływania i częstotliwość występowania zjawisk wspólnych dla legalnej i szarej strefy.

Dr Dariusz Maciej Grabowski



fot. pixabay.com

Przez szarą strefę rozumiem działalność gospodarczą prowadzoną ze świadomością łamania prawa podatkowego, czyli mającą na celu zaniżanie bądź unikanie płacenia podatków. W szarej strefie pracuje w Polsce kilka milionów ludzi. Kim są? To setki tysięcy Ukraińców, ale też legalnie zatrudnieni pracownicy wielkich korporacji i sieci handlowych, które to firmy bezwzględnie oszukujących państwo na podatkach. To także mali, średni i duzi polscy przedsiębiorcy którzy często przymuszeni opre-

syjnością przepisów podatkowych bądź nierówną konkurencją decydują się na naruszenie przepisów podatkowych. To w końcu bezwzględni i chciwi cwaniacy, nieuznający żadnych ograniczeń.

Kwoty zaniżonych podatków i wynikające stąd problemy budżetu państwa są ogromne. Pytanie nabiera szczególnej aktualności teraz, gdy rząd, ministrowie finansów i sprawiedliwości oraz podległe im służby podjęły walkę o skuteczniejszą ściągalność danin.

Legalizowanie luksusowej konsumpcji

Jak zareagują przedsiębiorcy na zintensyfikowaną egzekucję podatków? Ci, którzy dysponują pokaźnym majątkiem, zapewne podejmą decyzję o wycofaniu się z „lewych interesów”. Nie będą chcieli ryzykować. Ale pojawia się pytanie „w co się bawić?” Jaką działalność podjąć, gdzie i w co zainwestować wiedząc, że trzymanie pieniędzy w skarpecie bądź w banku jest marnotrawstwem?

Już w czasie potrzebnym do podjęcia decyzji znaczna część lub całość nagromadzonych środków zostaje zamrożona i wyłączona z cyrkulacji. Dla legalnego i szarego rynku oznacza to ograniczenie popytu i spowolnienie obiegu pieniądza. Przedsiębiorcy, którzy byli aktywni w szarej strefie, robili to po części oficjalnie, po części „na lewo”. Zarobione pieniądze wydawali na legalnym i nielegalnym rynku. Tu powstawał naturalny punkt styczny szarej strefy z rynkiem legalnym, a skala tej współzależności nie była marginalna.

Bądźmy pewni, że przymus inwestowania przedsiębiorcy z szarej strefy czują mocniej niż pozostali. Wynika to z „konieczności legalizowania” luksusowej konsumpcji i poczucia obowiązku lokowania majątku w dobra, które nie tracą na wartości z powodu inflacji.

„Boom” na rynku mieszkaniowym

Jak inwestować zgromadzone środki? Najprostsza odpowiedź brzmi: w nieruchomości, mieszkania, domy, place, ziemię. Polska i Polacy, jako społeczeństwo na dorobku, przez wiele jeszcze lat będą oszczędzać, zaciągać kredyty na budowę mieszkań i domów. Ryzyko poniesienia straty jest więc znikome.

Od ponad roku obserwujemy boom mieszkaniowy. Rocznie buduje się ponad 100 tysięcy mieszkań. Czynsz w mieszkaniach na wynajem rośnie jednak wolno, a zatem opłacalność takich inwestycji maleje. Okres „zwrotu” z inwestycji w mieszkania na wynajem przekracza z reguły siedem, a bywa, że 10 lat. Zarówno z punktu widzenia mikro, jak i makroekonomicznego jest to inwestycja o niskiej rentowności. Bardziej przypomina zamrażanie pieniędzy i godzenie się na niski zysk dla uniknięcia straty niż pogoń za maksymalnym zarobkiem.

Uważam, że za rok, najwyżej dwa boom w budownictwie mieszkaniowym wyhamuje. Będzie to efektem zarówno wzrostu kosztów robocizny, materiałów, surowców, ceny działek, jak i osłabienia popytu wobec względnego nasycenia rynku. Oby

nie spowodowało to początku kryzysu w budownictwie.

Niedochodowy rynek finansowy

Lokowanie pieniędzy w bankach na dłuższy termin zakrawa na kpinę. Oprocentowanie lokat nie przekracza 3proc., a po odliczeniu wskaźnika inflacji i podatku Belki często przynosi stratę.

Inwestowanie w akcje spółek notowanych na giełdzie przy prowadzonej przez państwo polityce „odsysania” środków z funduszy emerytalnych, przy obowiązującym podatku Belki i przy o wiele atrakcyjniejszym poziomie wskaźników giełdowych na świecie oraz przy „dryfowaniu na mieliznę” warszawskiej giełdy mija się z celem. Obroty na niej od wielu lat nie przekraczają średnio kilkuset milionów złotych dziennie. Przygnębiająco brzmi informacja, że w dobie, gdy premier Mateusz Morawiecki nawołuje do repolonizacji instytucji finansowych i firm, na rodzimej giełdzie ponad 55 proc. obrotów generują inwestorzy zagraniczni i ich udział rośnie. Drobni inwestorzy stanowią 14–16 proc. Polskie fundusze inwestycyjne to około 30 proc. obrotów na giełdzie i ich udział spada.

Kryptowaluty

Pojawił się pomysł pociągający z punktu widzenia indywidualnego inwestora, ale groźny – by nie powiedzieć zabójczy – dla rynku i budżetu państwa: kryptowaluty. Jak króliki z kapelusza w Internecie zjawiają się firmy, głównie o zagranicznym rodowodzie, które zachęcają do inwestowania w te produkty.

Teoretycznie forma inwestycji jest prosta, a potencjalny zarobek pokaźny. Należy kupić – im więcej tym lepiej – zubożonych wersji komputerów, a raczej maszyn obliczeniowych wraz z kartami graficznymi, oprogramowaniem i zabezpieczyć spory przydział mocy. Komputery, które w slangu nazywamy koparkami, mają liczyć 24 godziny na dobę. Inwestowanie w kryptowaluty nie wymaga organizowania procesu pracy polegającego na zatrudnianiu pracowników, nadzorze nad nimi i kontroli.

Jeśli inwestowanie w nieruchomości traktujemy jako działalność gospodarczą o malejącej efektywności, to kryptowaluty są klasycznym przykładem spekulacji finansowej, gdzie realne kapitały są odłączone od gospodarki, nie tworzą żadnego produktu ani usługi. Ponieważ kryptowaluty są „bezpieczkowcami”, należy liczyć się z transferem za granicę rodzimych środków pieniężnych i zubożaniem krajowego rynku. Jeśli uznać, że szaleństwo kryptowalut nie ominie Polski, rząd powinien pomyśleć nad rozwiązaniami, które przyciągną polskich i zagranicznych inwestorów do rodzimej gospodarki.

Zachęty do wyjścia z szarej strefy

Walka władz z szarą strefą jest skuteczna głównie przeciw rodzimym małym i średnim przedsiębiorcom. W walce z nadużyciami korporacji i firm zagranicznych rezultaty są mizerne. Dochody z podatku CIT i akcyzy rosną nieznacznie. Wielki kapitał nadal unika opodatkowania i nieuczciwie się bogaci. Taki stan rzeczy powinien przekonać rządzących, że należy zaproponować rozwiązania, które poprawią konkurencyjność rodzimych inwestycji.

Ponieważ byłem „aktywistom” szarej strefy wysoki poziom dochodów „wszedł w krew” nakłonienie ich do inwestowania w legalną gospodarkę byłoby łatwiejsze, gdyby od określonej wielkości poniesionych nakładów dla wszystkich polskich przedsiębiorców wprowadzić 3-, a może 5-letnie zwolnienie z podatku dochodowego. Chodzi o to, by środki, którymi dysponują, zaczęły nakręcać koniunkturę, a oni sami mieli poczucie sensu prowadzonej działalności.

Najwyższa też pora, by podjąć działania „reanimujące” warszawską giełdę. Należy zlikwidować tzw. podatek Belki i wprowadzić obowiązek wypłaty godziwej dywidendy akcjonariuszom przez spółki skarbu państwa. Należy wyjaśnić, co stanie się z pozostałościami kapitałów zgromadzonych w OFE i stworzyć zachęty dla inwestujących na giełdzie. Wszystko to ożywiłoby i ustabilizowało rynek finansowy w Polsce. ■

"TE PIENIĄDZE IM SIĘ PO PROSTU NALEŻAŁY"...

Ludscy Panowie idąc po władzę, określali się mianem tych, którzy będą blisko ludzi, skończą z arogancją władzy... którzy nie będą kraść. Mieli skończyć z układami i kolesiostwem. Dużo mieli, dużo o tym mówili i dużo z tego zrobili... tylko jakoś tak na opak.

Lech Bokszczanin

Z tym byciem bliżej ludzi, to najlepiej radzi sobie ich wódz. Starszy Pan z Żoliborza – nazwijmy go Jarek – cały czas pokazuje, jak bardzo blisko ludzi można być. Na odległość kordonu policji, kilku rzędów barierek i może w przyszłości zasieków z drutu kolczastego... Ja to bym Mu radził jeszcze fosę sobie strzelić dookoła willi, w której temu starszemu Jarkowi przyszło mieszkać.

Arogancję władzy też udało się akolitom pana Jarka dość wydajnie podkreślić. Zanim przejdę do tytułowych pieniędzy, które w ich mniemaniu im się należały... podam jakiś inny przykład. A może dwa, żeby was setkami występujących nie zanudzać. Ograniczę się do dwóch osób – obawiam się, że dość oczywistych. Pierwsza z nich (wypada zacząć od kobiety) to jedna z największych przeciwniczek udzielania pomocy ofiarom wojny w Syrii. Tak mocno wspierała niejakiego Mariusza w obronie polskiej ziemi przed uchodźcami, że zrobiono ją ministrem ds. uchodźców... to tak jak Chazan dbający o zdrowie kobiet – po prostu niesmaczne.

Co zrobiła Kempa?

Zorganizowała sobie ekskluzywną wycieczkę do Jordanii, która prawdopodobnie kosztowała więcej niż kwota, jaką chciała przekazać na pomoc mieszkającym tam uchodźcom... Ludzka Pani. O ile mnie pamięć nie myli, pani Beata poleciała samolotem, którego eksploatacja kosztuje dwa razy więcej niż takiej przykładowo CASY. Oprawa jej wyjazdu była żartobliwie określana mianem bizantyjskiej... ale niestety nie powinien ten fakt być powodem do żartów. Powinien za to i mam nadzieję że będzie, stanowić powód dokładnego zbadania zasadności wydawania naszych pieniędzy. W taki oto sposób skromna inaczej Beata Kempa zarobiła na znienawidzonych przez samą siebie uchodźcach... pokazała im!

Drugim z przykładów arogancji PiSiego okresu panowania jest aptekarz Bartek. Ten Misio bije na głowę opisaną powyżej Beatkę, ale niegrzecznie było zacząć od niego.

Co zrobił Bartek?

Cóż zatem takiego zrobił Bartek, od którego nazwiska pochodzi określenie dla całej haniebną grupę miernych, biernych ale wiernych? Cóż ten ulubieniec, byłego już na szczęście, szefa MON

(którym nigdy miał nie zostać) Antoniego uczynił? O czym by tu najpierw opowiedzieć? Czy o jego ciągłym pojawianiu się na stanowiskach pracy, do których miał takie same kompetencje, co biskup do decydowania o zdrowiu kobiet? Czy może wożącami po całym kraju, podczas których Misio bawił się w dyskotekach, a do których wożony był rządową limuzyną?

Szastanie naszymi pieniędzmi to wykonaniu takiego kogoś rzecz mniejszej wagi niż to, co mnie najbardziej w jego postawie raziło. Arogancja Misia nie wynikała z powyższych zachowań. To można podciągnąć pod zwykłą głupotę. Arogancja tego osobnika polega na poniżaniu innych. Poniżaniu tych, którzy zasłużyli sobie na większy szacunek, niż Misio kiedykolwiek zasłuży.

Nie jestem w stanie zrozumieć, jak ktoś bez wiedzy, doświadczenia, stażu, przygotowania, stopnia wojskowego, nawet bez odpowiedniego stopnia w strukturach cywilnych, może poniżać żołnierzy, którym szacunek okazywać powinien. Sytuację, w której Misio był witany okrzykiem "czołem panie ministrze", powinny przejść do najmniej chlubnych w historii Wojska Polskiego. Żołnierz, który był zmuszony nosić nad Bartusiem parasol, żeby biedactwo nie zmokło, powinien otrzymać rentę specjalną za doznane traumy... Wątkiem, w którym Misio wzywał do siebie zasłużonych oficerów Wojska Polskiego, kazał im czekać jak jakimś petentem, żeby następnie udzielać im reprimendy albo czegoś jeszcze gorszego, zakończę pisanie o tym kwiecie PiSiej młodzieży... czyli osobniku, który bez wsparcia rodzimej partii nie jest w stanie osiągać niczego.

Wystarczy nie kraść?

Kolejnym z głośnych hasel przedstawicieli lepszego sortu, było "wystarczy nie kraść". W ten oto sposób Beata, co to kiedyś była premierem, promowała siebie i swoich współników. Co miała na myśli z tymi kradzieżami? Z zarzutów, które padały z jej obozu pod adresem poprzedników, można wywnioskować, że owi poprzednicy byli łasi na kasę... naszą dodam. Czyli kradli, bo brali nasze pieniądze. Kradli, bo wydawali nasze pieniądze.

Kempa wydawała, ale nie kradła? Bartuś łasił się na stanowiska, na które nigdy kompetencji nie zdobył, ale nie kradł? Była premier przyznała sobie premię w wysokości kilku rocznych pensji suwerena, ale nie kradła?

Hmm... jeżeli poprzednicy „kradli”, a Ludzcy Panowie, wysysając z Polski jeszcze więcej, nie kradną, bo uważają, że „te pieniądze im się po prostu należały”, to jak my, szarzy obywatele, mamy to rozumieć? Jak nazwać kogoś, kto wprowadza w życie metody, które wcześniej nazwał kradzieżą i teraz mówi, że to jego należność?

Hasła i rzeczywistość

Jest to albo złodziej, albo złodziej wyrachowany, albo kłamca i złodziej, albo kłamca i arogant. Dlaczego? Złodziej – bo powiela działania tych, których złodziejami nazywał. Złodziej wyrachowany – bo powiela działania innego złodzieja, ale zmienia zasady gry i mówi, że teraz to już jest OK. Kłamca i złodziej – bo kłamał, zarzu-

cając poprzednikom kradzież, ale powielając ich działanie, kradnie w świetle własnych zarzutów. Kłamca i arogant – bo kłamał, że poprzednik kradł, ale w arogancki sposób robi to samo, bo ciemny lud to kupi... bo arogant myśli, że lud jest głupi...

Jak więc poczynania zorganizowanej grupy trzymającej władzę, mają się do pięknych haseł grupy pchającej się do tej władzy? Nijak! Obiecali coś za poparcie i się nie wywiązali. Mówiąc krótko, wyłudzi od wyborców skreślenie krzyżyka przy nazwisku ich współnika. Inaczej nie potrafili. Nie potrafili zdobyć władzy, będąc sobą, więc stworzyli kłamliwy obraz kogoś, kim nigdy nawet nie chcieliby być. Stworzyli obraz ludzi uczciwych, słuchających obywateli i niepchających się do władzy po kasę... niestety z ich haseł pozostało już tylko „Te pieniądze im się po prostu należały”... ■

DLACZEGO OBCHODZIMY ŚWIĘTO PRACY?

Pierwszy maja to dzień, w którym rozpoczynamy sezon grillowy. Tego dnia jest już ciepło, a w dodatku jest wolne. Wtedy kiełbaski, żeberka i hamburgery smakują najlepiej, a zimne piwo po zimie odzyskuje doskonały smak. Jednak czy ktokolwiek z was pomyślał, dlaczego właśnie pierwszego maja obchodzimy święto pracy?

Michał Dworzyński

Już w 1864 r. w Europie powstała Pierwsza Międzynarodówka. Skupiała ludzi związanych z Karolem Marksem, który propagował idee socjalizmu, czy też komunizmu w jego pierwotnym znaczeniu, który dziś nazywamy marksizmem od nazwiska twórcy. Stowarzyszenie przyjęło za swoje hasło z Manifestu Komunistycznego Proletariusze wszystkich krajów łączcie się. Potrzebna była zatem współpraca amerykańskiej klasy robotniczej. W tym czasie w Stanach Zjednoczonych Ameryki wojna secesyjna wkroczyła w decydującą fazę, wkrótce miał zostać zamordowany prezydent Abraham Lincoln. Trwa tam jednocześnie koniunktura gospodarcza.

Święto pracy jest obchodzone właśnie wtedy, by uczcić strajkujących robotników w Chicago, dokładnie pierwszego maja 1886 r. Jako święto zostało wprowadzone zaledwie trzy lata później, przez Drugą Międzynarodówkę.

Druga połowa XIX wieku to dla Chicago czas wielkiego rozwoju. Po wojnie secesyjnej można już uznawać Stany Zjednoczone Ameryki Północnej za najbogatszy i najbardziej rozwinięty kraj na świecie.

Przemysł w Chicago kwitł, a robotnicy z całego świata przybywali do pracy. Pojawili się wtedy w Stanach największe fortuny w dziejach, John Davison Rockefeller dorobił się na ropie naftowej, Andrew Carnegie na stali, JP Morgan na finansach i bankowości. Jeden procent społeczeństwa posiadał dziewięćdziesiąt procent majątku.

Robotnicy to jednak zupełnie inna sprawa. Była cała masa osób zatrudnionych poniżej 15 roku życia. Kobiety pracowały za zenująco niską kwotę. Praca wszystkich robotników była ciężka, płaca niewielka, a czas pracy wynosił dwanaście godzin sześć dni w tygodniu. Robotnicy nie posiadali także ubezpieczenia.

W sobotę 1 maja 1886 roku w Chicago wybuchł strajk, którym robotnicy chcieli wymusić na pracodawcach skrócenie czasu pracy z dwunastu do ośmiu godzin, żądali także znaczącej podwyżki wynagrodzenia. Strajk przerodził się w zamieszki. W ich trakcie doszło do starć z policją, w wyniku których zginęło sześciu robotników. W odpowiedzi robotnicy zgromadzili się na placu Haymarket i tam 4 maja doszło do tragedii: rzucona w tłum bomba zabiła 11 ludzi i wielu raniła.

O spowodowanie śmierci i wywołanie zamieszek zostali oskarżeni przywódcy strajku. Brak dowodów nie przeszkadzał, by George Engel, Adolph Fischer, Samuel Fielden, Louis Lingg, Albert Parsons, Michael Schwab oraz August Spies zostali skazani przez amerykański system sprawiedliwości na karę śmierci. Dla lewicowej i socjalistycznej prasy byli ofiarami kapitalizmu i samowoli sądowej.

Strajkujący robotnicy z Chicago stali się symbolem walki klas, a także wyzysku XIX-wiecznego kapitalizmu, podczas rewolucji październikowej byli uznawani za przykład wyzysku i tego, jak elity wykorzystują szarych, przeciętnych ludzi. Właśnie dlatego pierwszego maja każdego roku w wielu krajach obchodzone jest święto pracy. ■

W GDAŃSKU NIE CZUJĘ SIĘ KIMŚ OBCYM

Dobre stosunki polsko-niemieckie nie powstają tylko dzięki zaangażowaniu rządów, ale dzięki ciężkiej pracy wielu ludzi. To oni są najlepszymi budowniczymi mostów.

Z p. Cornelią Pieper, niemiecką konsul generalną w Gdańsku, rozmawiał: Marcin Gołaszewski



fol. Mateusz Janota

Spotykamy się w Gdańsku, miejscu ważnym w relacjach polsko-niemieckich pod wieloma względami. Tu rozpoczęła się druga wojna światowa, która nie tylko odcisnęła głębokie piętno na historii całego kontynentu i na dzieściolecia podzieliła nasze narody, tu znajduje się kolebka polskiej Solidarności, która stała się inspiracją także dla Niemców. Wreszcie tu przyszło pani pracować jako konsul dla dobra naszych dwustronnych relacji. Jak odbiera pani to miasto?

Już czwarty rok jestem w Gdańsku. Czuję się tu jak w domu. Gdy tak długo miesz-

ka się w jednym miejscu, gdzie znajdują się korzenie Solidarności, europejskiego ruchu Solidarności, to zawsze czuje się związek z historią tego miasta. Historia ta związana jest ponadto z moją historią osobistą, z moim życiem. Odbieram więc Gdańsk bardzo prywatnie, wręcz emocjonalnie.

I do tego chciałem nawiązać. Rok temu miałem okazję dostać do rąk wydany w ramach serii Publikacje Instytutu Polskiego w Darmstadt tom „Moja Polska – moi Polacy”. Znajduje się tam wiele tekstów poświęconych naszym relacjom dwustronnym. Pani tekst jest bardzo osobisty.

Ten tom miał ukazać, jaki Niemcy mają stosunek do Polski, jak odnaleźli miłość do Polski. Każdy z autorów przedstawiał swoją bardzo prywatną drogę ku pojednaniu, ku odkrywaniu bogactwa naszych relacji. Nawet nasz obecny prezydent, Frank-Walter Steinmeier, który wtedy był ministrem spraw zagranicznych, napisał artykuł w tej książce. Mój punkt widzenia był osobisty, nacechowany emocjonalnie, gdyż myślałam, że ważne jest, aby ukazać, skąd pochodzę, co łączy mnie z Polską. Podobnie jak Polacy, ja także urodziłam się i wychowałam w państwie socjalistycznym, w NRD. Człowiek ma więc szczególną historię. Studiowałam w latach 80. w Warszawie

i te związki z Polską sięgają właśnie tak daleko wstecz.

Często bywała pani także wcześniej na Mazurach.

Tak, to prawda. Te wyjazdy jednak różniły się od moich późniejszych pobytów w Polsce. Wtedy mówiliśmy po niemiecku. Przypominam sobie, że język niemiecki był już wtedy, przed 1989 r., językiem bardzo popularnym w Polsce. Nie do wiary, ale tak właśnie było. Muszę dodać, że dzisiaj Polacy są tym narodem, w którym tak duży odsetek mówi w języku niemieckim. To aż dwa miliony ludzi. W Niemczech tylko 2,5 tys. mówi po polsku. To jest kolosalna różnica. Wtedy mówiliśmy po niemiecku, ale też po angielsku. Wtedy byłam jako młoda dziewczyna z rodzicami na Mazurach. Dopiero w 1980/81 r. nauczyłam się języka polskiego.

To była świadoma decyzja, że zdecydowała się pani na slawistykę i naukę języka polskiego?

Na studia wyjechałam do Warszawy, skończyłam studia, które zaczęłam w Lipsku, językoznawstwo, literaturę polską i rosyjską oraz oczywiście język.

Czemu akurat Polska, a nie Rosja?

To się wiąże z realiami, w jakich żyliśmy. W państwach socjalistycznych językiem obowiązkowym, pierwszym językiem obcym, był zawsze i bez wyjątku język rosyjski. Piękny język, ale nikt nie chciał się go uczyć. Jeżeli człowiek zmuszany jest aby się czegoś uczyć, to zawsze robi to z niechęcią. Dla mnie możliwość nauki języka polskiego była wyjątkowym przywilejem. Po pierwsze, był to nasz kraj sąsiedzki, po drugie i chyba najważniejsze, od pierwszych pobytów na Mazurach byłam już jako młoda dziewczyna zakochana w Polsce.

W roku 1980, a więc w czasie powstania Solidarności, przyjechałam do Polski, odbywały się wtedy strajki studenckie, nawet profesorowie dyskutowali z nami na temat wolności, demokracji, na temat tego, co się dzieje w Polsce. Jeden profe-

sor mówił, że dzisiaj my, Polacy, wychodzimy na ulicę za naszą wolność ale ma pewność, że za 10 lat runie mur berliński i wszyscy będziemy wolni. Wtedy trudno było dać temu wiarę i sama nie wierzyłam, że kiedykolwiek będzie to możliwe. Choć przyznam szczerze, że już wtedy było to marzeniem nie tylko moim, ale wielu, bardzo wielu moich rówieśników. I zdarzyło się. Taka właśnie była historia. Niesamowita i zarazem fascynująca.

„Moi Polacy nauczyli mnie tęsknoty za wolnością” – to pani słowa, bardzo osobiste. Wraca pani do lat 80. i uważa, że to musiało ukształtować panią jako osobę, jako człowieka? Jak pani rozumie te słowa, jak pani uczyła się demokracji?

To była ta cała atmosfera tamtych dni w Polsce. Proszę sobie wyobrazić, że w NRD odmawiano nam prawa do demonstrowania, zabraniano nam wyrażania własnego sprzeciwu, nie mogliśmy nawet w czasie rozmów prywatnych krytykować władzy. To było zdecydowanie inne państwo niż Polska. Tu było zdecydowanie liberalniej. Studenci polscy mogli wyjeżdżać na Zachód, wracali stamtąd z bagażem wyobrażeń, marzeń i doświadczeń.

Dla nas, obywateli Niemiec wschodnich, to wszystko było niewyobrażalne, a zarazem nieosiągalne. Fascynował mnie szczególnie sposób, jak studiowaliśmy na uniwersytecie. Byliśmy bardziej wolni, mogliśmy wybierać zajęcia, sama mogłam zdecydować, co chcę studiować, na jakie kursy uczęszczać. To wszystko nie było możliwe w tamtych czasach w NRD. Uczyłam się demokracji żyjąc tu. Nigdy wcześniej nie czułam takiej wolności, jak tu w Polsce.

Myśli pani, że ta atmosfera lat 80. w Polsce przeniosła się u schyłku dekady do Niemiec wschodnich, kiedy miały miejsce masowe protesty w Lipsku, Dreźnie?

Jestem nawet przekonana, wręcz pewna, że bez odwagi Polaków obywatele NRD nie wyszliby na ulicę, żeby walczyć o własną wolność. Myślę, że wydarzenia w Polsce są ściśle powiązane z wydarzeniami w NRD i warunkowały fakt, że

w ogóle w Niemczech wschodnich miały miejsce. Dlatego wspominałam o słowach tego profesora, który tak bardzo był przekonany, że za 10 lat upadnie mur berliński. To było fascynujące, że taki ruch wolności w Polsce oddziaływał na ludzi w innych państwach w Europie. To było niesamowite przeżycie, pełne wiary w nadchodzące dni i miesiące, wiary w siłę nas wszystkich, patrzących z optymizmem w przyszłość. Pokojowa rewolucja, przełom, zjednoczenie Niemiec stały się możliwe dzięki Solidarności i Polakom. Za to jestem im tak bardzo wdzięczna, ale i tak bardzo wzruszona, gdy wspominam tamte chwile spędzone w Polsce.

Proces pojednania polsko-niemieckiego trwa dziesięciolecie i wciąż jest to bardzo aktualny temat. Pamięta pani zapewne wiele zdarzeń, które były istotne. Które z nich w Pani ocenie tworzyły atmosferę pojednania i je umożliwiły?

Poznałam osobiście pana ministra Bartoszewskiego i byłam bardzo z nim zaprzyjaźniona. Był wyjątkowo zaangażowany w budowę relacji polsko-niemieckich. Jego życie, jego historia były dla mnie, jak i dla wielu Polaków, wyjątkowo poruszające. Mimo iż stracił rodzinę w obozie koncentracyjnym założonym przez Niemców, całe swoje życie podporządkował jednemu: pojednaniu między naszymi narodami.

Wielokrotnie rozmawiając z nim miałam głębokie poczucie winy słuchając historii jego życia, historii straty rodziny zamordowanej właśnie przez Niemców. Opowiadał, że wie, iż tylko pojednanie pomaga nam i przyczynia się do budowy przyjaźni, do pokoju między naszymi narodami. To było niezwykle, wyjątkowe doświadczenie. Szczególna postać dla mnie, wyjątkowy człowiek, w którego twarzy i historii życia odbijała się jak w lustrze całość naszych trudnych relacji.

Podziwiam także postaci historyczne, takie jak Helmut Kohl, Hans-Dietrich Genscher czy Tadeusz Mazowiecki, Krzysztof Skubiszewski, Rita Suessmuth, z którą jestem zaprzyjaźniona. Te wszystkie osoby odcisnęły swoje piętno na ►

► naszych relacjach, dołożyły cegiełkę w budowaniu dobrosąsiedzkich relacji. Te postacie były zawsze dla mnie przykładem i motywacją do działania zarówno w polityce, jak i w dyplomacji. Kolejnym pokoleniem, które będzie budowało naszą przyjaźń, będzie pana pokolenie.

Dziękuję bardzo. Minęło 14 lat, od kiedy jesteście członkiem Unii Europejskiej, prawie 20 lat, od kiedy należymy do Paktu Północnoatlantyckiego. Jako Polak mam świadomość, że to wszystko nie byłoby możliwe bez wsparcia Niemiec. Mam przekonanie, że Niemcy bądź to ze względów moralnych, bądź ze względów politycznych albo też gospodarczych zaangażowały się w proces integracji Polski ze strukturami zachodnimi.

Oczywiście. Moi koledzy i ja sama zaangażowaliśmy się w proces wejścia Polski do UE. To było bardzo ważne wydarzenie i ważny krok w historii kontynentu, Niemiec i przede wszystkim samych Polaków. Polska była krajem, który dał nam wolność. Solidarność pomogła nam samym w drodze ku zjednoczeniu Niemiec. Niemcy mieli moralny obowiązek, aby pomóc Polsce. Wiedzieliśmy, że Polacy są Europejczykami i należą pod każdym względem do UE. Dlatego tak mocno się zaangażowaliśmy i dlatego robiliśmy to dla Polski i dla jej obywateli.

Teraz łyżka dziegciu. W mediach mówi się coraz częściej, że nasze relacje, dotychczas określane jako wręcz modelowe dla całej Unii Europejskiej, stają się coraz gorsze...

Jeszcze są! Nie zgadzam się z pana opinią, że nasze stosunki są złe. Byłam dzisiaj u marszałka województwa pomorskiego. Ma on doskonałe relacje z prezydentem Środkowej Frankonii. Dzisiaj odbyło się spotkanie w Gdańsku, w doskonałej atmosferze, spotkali się dwaj partnerzy, którzy nie tylko sobie ufają, ale także i przede wszystkim darzą się sympatią i szacunkiem. Dla mnie to był dowód, że dobre stosunki polsko-niemieckie nie powstają tylko i wyłącznie dzięki zaangażowaniu rządów, ale przede wszystkim dzięki cię-

kiej pracy bardzo wielu ludzi. To oni są najlepszymi budowniczymi mostów. Mamy tak wiele wspólnych inicjatyw, tyle przykładów współpracy na szczeblu obywatelskim, iż muszę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że nasze stosunki są tak dobre jak nigdy przedtem.

Spowodowane jest to może tym, że przeszliśmy na kolejny etap pojednania i naszych dobrych relacji, iż nie polegają one już – jak w latach 60., 70. i 80. – na gestach polityków, ale na realnej współpracy między miastami, gminami, szkołami.

Oczywiście! Po Francji to miasta i gminy w Polsce są na drugim miejscu, jeśli chodzi zarówno o liczbę zawartych porozumień partnerskich, jak i o intensywność tych kontaktów. Z jednej strony Niemcy pielęgnują relacje z największym sąsiadem na Zachodzie, z drugiej jednakże strony relacje z Polską są tak samo ważne, a rozbudowa, intensyfikacja istniejących powiązań jest w żywotnym interesie rządu federalnego. To po prostu opłaca się nam wszystkim.

Jeśli chodzi o współpracę, ma to ogromny sens, bo odbywa się ona na szczeblu obywateli obu naszych krajów, dotyka spraw, które ich interesują, którymi żyją i które są im bliskie. Burmistrzowie i prezydenci miast współpracują bezpośrednio ze sobą, bez udziału polityków ze szczebla centralnego. To jest praca, która jest najbliższa ludziom, wiedzą o co chodzi, na czym polegają te dobre stosunki, są one realne: buduje się wymianę młodzieży. To był pomysł, idea naszych rządów, ale całość wykonania leży po stronie samorządów naszych obu krajów.

Dwa lata temu obchodziliśmy 25-lecie podpisania Traktatu o dobrym sąsiedztwie. Gdy patrzę na nasze relacje i intensywność wymiany młodzieży, to widzę, jak dużo jeszcze możemy osiągnąć. Wszystko jednak w pewnym stopniu rozbija się też o pieniądze. Im więcej będziemy inwestować w te relacje, tym więcej pięknych i szczytnych celów osiągniemy. Widzę, jak dużo inwestuje Francja w tego typu projekty; chciałabym, aby rząd polski także był zainteresowany tak intensywną współpracą. Dużo zadań przed nami.

I o to chciałbym dopytać. Jakie akcenty stawiałaby pani w naszych relacjach na najbliższe lata? Co powinno być traktowane priorytetowo, aby nasza współpraca, pojednanie, wymiana młodzieży rozwijały się intensywniej i szybciej?

Jeden akcent to wymiana młodzieży. Należałoby podwoić ilość wymiany uczniowskiej, ilość partnerstw szkół. To byłoby wyjątkowo potrzebne. Musimy pokazać młodemu pokoleniu, jak ważne są nasze stosunki, że są bazą dla naszej wspólnej europejskiej przyszłości. To młodzież musi stać się nośnikiem tych wartości. Po drugie, przypominam sobie słowa pierwszego prezydenta Niemiec Theodora Heussa, liberała, który powiedział: „Z polityki nie można zrobić kultury, ale z kultury można zrobić politykę”. To są bardzo mądre słowa, bo my wszyscy wiemy, że kultura musi mieć bazę wolności i być tworzona przez ludzi, przez społeczeństwo obywatelskie.

Potrzebujemy więcej inicjatyw kulturalnych. Ja już kilka razy zapraszałam orkiestry z obu krajów. We wrześniu, kilka dni przed kolejnymi uroczystościami zjednoczenia Niemiec, obchodząc będziemy w konsulacie generalnym w Gdańsku 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Zaprosiłam na tę uroczystość Orkiestrę Bałtycką, 80 osób. W uroczystościach wezmą udział Polacy, Niemcy, młodzież z krajów bałtyckich, z Finlandii i Szwecji. Te wszystkie kraje świętują odzyskanie niepodległości. To szczególne wydarzenie. Pracujemy zatem nie tylko na rzecz relacji polsko-niemieckich, ale także na rzecz pamięci europejskiej, wspólnej dla wielu krajów naszego kręgu cywilizacyjnego.

Na początku 2018 r. zaprosiliśmy francuskiego filozofa Alfreda Grossera, zorganizowaliśmy dyplomatyczny kwartet, następnego dnia poszliśmy z młodymi muzykami do szkoły, do liceum, aby osoby pochodzenia żydowskiego porozmawiały z Polakami o muzyce, o kompozycjach, o ich postrzeganiu twórczości. Rozmaitość kultur, religii – ukazanie właśnie tego piękna w Polsce – to też jest szczególnym celem, jaki stawiam sobie w mojej roli jako konsula generalna w Polsce.

Podsumowując – znajdujemy się na takim etapie, gdzie to nie polityka, a raczej kultura powinna stać się tym pendant pogłębiającym nasze pojednanie; kultura, która może zbliżyć, nie znająca uprzedzeń, kultura otwarta na sąsiedza, uniwersalna, z zasady nastawiona pokojowo i łącząca a nie dzieląca, wzbo- gacająca kulturę drugiego partnera.

Ma pan rację. A przede wszystkim jest, musi być niezależna od polityki. I to jest najważniejsze.

Powinna być...

Prawdziwa kultura jest niezależna. Pamiętam słowa Friedricha Schillera, obok Johanna Wolfganga Goethego najwybitniejszego i najbardziej znanego pisarza XIX-wiecznego, który mówił: „Kultura, sztuka jest najpiękniejszą córką wolności”. Miał wiele racji, bo kultura zawsze jest niezależna, nieograniczona żadnymi nakazami i zakazami, rozwija się i osiąga swój rozkwit właśnie w wolności, pełnej i nieskrępowanej. To jest moim zdaniem dobra platforma porozumienia, dobra platforma rozwoju, żeby kreować nowe idee, pomysły. To jest szczególnie istotne dla młodzieży, która z zasady dąży do czegoś nowego, odrzuca utarte ścieżki i schematy, chce czuć się i realnie być wolna. Młodzież musi spoglądać w przyszłość.

Przed kilkoma laty spotkaliśmy się w Kaliningradzie. Jeżeli nawet założymy że stan pojednania polsko-niemieckiego, naszych relacji jest najlepszy, jaki kiedykolwiek mieliśmy, to jednak te relacje z Rosją są różne, różnie się układają. Czy kiedyś w pani ocenie współpraca polsko-rosyjsko-niemiecka i pojednanie staną się także udziałem naszych rosyjskich partnerów?

Niestety nie jest tak, jak byśmy chcieli. Jednak te stosunki trójstronne istnieją. Za prezydentury polskiej w Unii Europejskiej to Donald Tusk zaangażował się na rzecz otwarcia granicy z Rosją, chciał, aby młodzi Rosjanie mogli przyjeżdżać do Unii Europejskiej.

Myślę, że ta wymiana bezwizowa jest najlepszym dowodem współpracy. Mie-

libyśmy więcej szans, aby przekonać obywateli Rosji do ideałów, które wyznajemy, do wolności. Jak pan sam jednak doskonale wie, mieszkańcy Kaliningradu myślą inaczej. Dlatego najważniejsze jest, że mamy współpracę społeczeństwa obywatelskiego. Chciałabym współpracować więcej, będąc tutaj w Gdańsku. Jestem przekonana, że gdyby Kaliningrad był specjalną strefą ekonomiczną dla Unii Europejskiej, mielibyśmy szanse wybudować coś szczególnego w ramach państwa rosyjskiego, przenieść tego europejskiego ducha. Niestety, nie ma dosyć głosów, aby przekonać europarlamentarzystów do tego pomysłu.

Na początku naszej rozmowy, mówiliśmy o artykule, który był bardzo osobisty, a teraz chciałbym spytać, czy czuje się pani w głębi serca związana z Polską? W Niemczech funkcjonuje pojęcie Heimat (mała ojczyzna). Pani pochodzi z Halle, to jest pani miejsce urodzenia, gdzie wraca pani wspomnieniami z dzieciństwa. Miejsce, z którym człowiek czuje się całe życie głęboko związany. Gdy mieszka się gdzieś wiele lat, sprawia to, że to miejsce także nabiera szczególnego charakteru. Czy w takim razie Gdańsk stał się dla pani takim miejscem?

Muszę przyznać, że podczas moich studiów tylko raz byłam w Gdańsku. Dużo podróżowałam po Polsce, ale nie wiem, czemu akurat wtedy tak rzadko tutaj bywałam. Teraz mieszkając na Pomorzu, w tym mieście, człowiek dostrzega, na jaką wielką historię Polski i Niemiec natrafia się każdego dnia, jak wiele nas łączy, jak wiele stało się naszym wspólnym udziałem. Czuć i wiedzieć o tym, to dar i zobowiązanie. Myślę tu o Günterze Grassie, laureacie Nagrody Nobla, Niemcu, który pochodził z Kaszub. Myślami powracam także do historii mojej rodziny, do mojego ojca, który w czasie wojny stacjonował na Półwyspie Helskim jako 18-letni chłopak i pod koniec tej straszliwej rozpętanej przez nazistowskie Niemcy wojny, jak dziesiątki i setki tysięcy moich rodaków, także poznał tragedię, cierpienie, ból. Uciekające dziesiątkami i setkami tysięcy masy ludzkie także w jakimś stopniu stały się częścią historii mojej rodziny.

Wspominam o tym, by pokazać, że to jest historia nie tylko Polski, to miasto i region to historia nas wszystkich, nasze europejskie dziedzictwo, które nosimy w sobie. Nie można tego rozdzielić. To nie jest możliwe. To jest fascynujące, że mieszkam tutaj jako Niemka i nie mam poczucia bycia kimś obcym.

To jest nasza wspólna spuścizna, która jest charakterystyczna dla Gdańska, Wrocławia, Łodzi, w których odsetek Niemców był bardzo wysoki, gdzie współpraca pomiędzy Polakami, Niemcami, Żydami, Rosjanami odbywała się i została nagle zerwana przez tragiczne doświadczenie wojny i podziału Europy po drugiej wojnie światowej. I jakkolwiek ta historia toczyłaby się, jakkolwiek byłaby bolesna, to warto ją odkryć, dostrzec i być jej świadomym. W Polsce w latach 90-ych. ten proces się rozpoczął i trwa do dziś.

To jest długa historia, o której moglibyśmy rozmawiać bardzo długo. Szczególnie tutaj, w Gdańsku, ludzie są bardzo otwarci nie tylko na spotkania polsko-niemieckie, ale także na cały świat. Ta tradycja miasta hanzeatyckiego nadal jest obecna, ona żyje. Mieszkańcy nie mają uprzedzeń. ■



fol. Mateusz Janota

CO Z TYM SMOGIEM?

Choć nie wszyscy w niego wierzą, nad Polską wisi smog. Ten groźny stwór rujnuje nasze zdrowie i pożera olbrzymie pieniądze. Trzeba mu wypowiedzieć bezpardonową wojnę, zanim wyrządzi jeszcze większe szkody.

Piotr Kleczkowski



fot. pixabay.com

Duszący, o zapachu kotłowni, czy słodkawo-mdły z wydechów diesli. Chyba wszyscy go znamy: zapach smogu. Jednak wielu naszych rodaków drażni nie smog, ale zauważanie go. Zajrzyjmy na jedną z ostatnich dyskusji w sieci (pisownia oryginalna):

- „jaki smog jedne wielkie oszustwo, tu o kasę chodzi a nie o czyste powietrze, w czasach PRL, był przemysł, ludzie palili węglem i drewnem, i smogu nie było...”

Inni problem jednak widzą:

- „ty nieuku, porównaj długość życia np. z Szwedami lub, bliżej, Niemcami! Co za debil???!?”

To jak jest naprawdę? Wymysł ekologów i lewaków, zręczna strategia marketingowa czy wielkie zagrożenie?

Który smog gorszy?

Najpierw przyjrzyjmy się przeszłości. Systematycznych pomiarów smogu z czasów PRL nie mamy, ale możemy o nim wnioskować pośrednio. Znacznie większe były emisje przemysłowe, w przypadku pyłów i dwutlenku siarki kilkakrotnie. Emisje z ogrzewania indywidualnego jednak większe są dziś. Znacznie wzrosła liczba domów jednorodzinnych (o ok. 1,5 mln od 1990 r.) i pogorszyło się paliwo. Nawet w PRL nie dopuszczano do spalania odpadów z produkcji węgla – tzw. mułów i flotokon-

centratów, obficie emitujących bardzo szkodliwe substancje, w tym rakotwórcze. Ten cywilizacyjny krok wstecz zrobiła ekipa rządząca w 2004 r., aby poprawić wyniki finansowe kopalni.

Do tego śmieci. Trudno powiedzieć, czy w PRL skłonność do ich spalania była większa czy mniejsza niż dziś, ale ilość odpadów nieustannie rośnie. Najszybciej takich materiałów, które podczas spalania emitują szczególnie toksyczne związki, czyli tworzyw sztucznych i substancji zawierających chlor. Jeżeli przeanalizujemy też zmiany w transporcie, to dojdziemy do wniosku, że dzisiejszy smog jest prawdopodobnie bardziej szkodliwy niż ten sprzed kilkudziesięciu lat.

Z badań wieje grozą

Czy mamy jednak pewność, że nam szkodzi? Przecież ludzie jakoś żyli i żyją nadal. Od lat prowadzone są na ten temat systematyczne badania naukowe. Ostatnio ten zasób wiedzy powiększa się szczególnie szybko i wnioski nie są wesołe: zanieczyszczenia powietrza są bardziej szkodliwe niż sądzono jeszcze niedawno. Oto pierwsze z brzegu dane z Polski: odsetek dzieci chorych na alergię lub astmę w Krakowie wynosi 54 proc, a w stosunkowo czystym województwie warmińsko-mazurskim – 4 proc. Odsetek przedwczesnych zgonów w aglomeracji górnośląskiej – 240 na 100 tys. mieszkańców, przy średnim stężeniu pyłu PM_{2,5}

równym 34 mikrogramy/m³. W Gorzowie Wlkp. odpowiednio – 80 zgonów przy 15 mikrogramach/m³. Dowody działają też w drugą stronę. Tam, gdzie udało się energicznie obniżyć poziom zanieczyszczeń, śmiertelność wyraźnie spadła, tak było na przykład w Dublinie.

Na mnie szczególne wrażenie robią wyniki badań przeprowadzonych w Krakowie i potwierdzonych zbliżonymi badaniami z USA. Dzieci, które w okresie prenatalnym narażone były na smog, wykazują (poza innymi niekorzystnymi parametrami) niższą inteligencję, średnio o 3,8 IQ – a z warunków badania wynika, że realnie różnica jest jeszcze większa. Godzimy się na to w epoce, kiedy gospodarka oparta na myśli już puka do naszych bram. Czy będzie miał kto otworzyć?

Straty zdrowotne przekładają się na finansowe. Z oszacowania Europejskiej Agencji Środowiska dla UE wynika, że w Polsce suma strat to ok. 150 mld zł rocznie.

Oszukane normy

W komunikatach o stanie powietrza zdarza się radosny zielony kolor oznaczający, że jakość powietrza jest dobra, a nawet bardzo dobra. Często to złudny optymizm. Te oceny opierają się na normach obowiązujących w UE. Jednak wartości zalecane przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) jako graniczne są często o połowę niższe. Zbliżone do nich wartości obowiązują jako normy w Szwajcarii. W przypadku pyłu WHO zresztą od pewnego czasu ostrzega, że bezpiecznego stężenia nie ma, pył zawsze może być szkodliwy.

Podobnie jest z substancjami rakotwórczymi, których oddziaływanie na nasz organizm kumulują się w ciągu całego życia. WHO wartości zalecanych nie podaje dla nich w ogóle, tylko tzw. wartości referencyjne, przy których ryzyko rozwinięcia się procesu nowotworowego jest znikome. Przedstawicielem tych substancji w powietrzu jest benzo(a)piren, dla którego UE wyznaczyła normę na poziomie 1 ng/m³, podczas gdy wartość referencyjna WHO jest ośmiokrotnie niższa. W Polsce średnia z pomiarów benzo(a)pirenu ze wszystkich stacji to 6 ng/m³ i jest to wielokrotnie więcej niż w innych krajach UE.

Świat działa, Polska nie

Świat zauważył to zagrożenie już dawno. W drugiej połowie XX w. zaczęto ograniczać smog we wszystkich krajach rozwiniętych. Najpierw redukowano emisje przemysłowe, potem grzewcze, a na końcu transportowe. Walka ze smogiem trwa i nadal nie jest wygrana. Chiny, niedawno uznawane za światowego brudasa i truciciela numer jeden, trzy lata temu wypowiedziały smogowi zdecydowaną wojnę i już mają efekty. Stężenie pyłu w Pekinie spadło o 25 proc. Paradoks Polski polega na tym, że o ile emisje z przemysłu i energetyki ograniczamy (opornie, w UE jesteśmy maruderem) to w sprawie emisji grzewczych i transportowych na szczeblu centralnym ciągle nie zrobiliśmy prawie nic. Stąd lutowy wyrok Trybunału

Sprawiedliwości UE, który orzekł, że Polska narusza unijne prawo w dziedzinie jakości powietrza. Za tę beczynność możemy zapłacić nawet 4 mld zł.

Co trzeba zrobić?

Najlepsze są decyzje administracyjne, które mało kosztują, wśród nich wprowadzenie norm jakości dla paliw stałych. Normy te obowiązują już w kilku województwach, ale z ich przestrzeganiem jest krucho. Obecnie w Sejmie trwają prace nad rządowym projektem nowelizacji ustawy o jakości paliw stałych. Ustawa ma wejść w życie jeszcze przed wakacjami.

Dalej mamy już kosztowne działania techniczne, przede wszystkim wymianę prymitywnych kotłów zasypowych na gazowe bądź nowoczesne kotły węglowe. Operacja ta w skali kraju musi kosztować ok. 50 mld zł, ale według moich uproszczonych obliczeń (innych brak) powinna przynieść redukcję łącznego zagrożenia zdrowotnego smogiem aż o ok. 65 proc, a to z kolei może przynieść roczne oszczędności rzędu 100 mld zł.

Pytanie, czy to się opłaca, staje się więc retoryczne, natomiast pozostaje inne: skąd te 50 mld wziąć? Zapewne złożyć się muszą wszyscy po trochu: budżet państwa, samorządy i właściciele nieruchomości. Od szczegółów mamy polityków, oczywiście tych mądrzejszych.

Warto przy okazji obalić mit, który stał się nawet bazą programu rządowego Smog Stop. Otóż inna możliwa operacja – termoizolacja budynków – pozwala oszczędzać paliwo i obniża emisję dwutlenku węgla, ale jako sposób ograniczania smogu jest mało efektywna. Gdybyśmy zamiast wymienić kotły zaizolowali wszystkie wymagające tego budynki, to łączne zagrożenie smogiem spadnie tylko o kilkanaście procent, przy koszcie wyższym niż wymiana kotłów.

Trzeba też mieć świadomość, że bez wielkiej akcji edukacyjnej większość społeczeństwa (a w ślad za nią politycy) na wydanie tych 50 mld po prostu się nie zgodzi, bo po co płacić za walkę z czymś, czego nie ma? Zwłaszcza że to jeszcze nie koniec drogi. ■



fol. pixabay.com

W ZWIĄZKU ZE ZWIĄZKIEM ZAWODOWYM

Jak związki zawodowe funkcjonują we współczesnym biznesie? Są przeżytkiem, czy może jednak potrafią być pożytecznym narzędziem w rękach pracownika? Co o nich myślą przedsiębiorcy?

Katarzyna Kacprzak, Jacek Okoń, Marek Klimkowski, Ewa Krawczyk-Dębiec



fol. Piotr Woźniak

Związek zawodowy jest dobrowolną i samorządną organizacją ludzi pracy, powołaną do reprezentowania i obrony ich praw, interesów zawodowych i socjalnych. Nie brzmi to zachęcająco. Związki zawodowe kojarzą się niektórym z rozjuszonymi górnikami, strajkującymi pielęgniarkami lub nauczycielami. Przywodzą na myśl swąd palonych opon, wycie syren, gromkie okrzyki oraz korki na ulicach.

We współczesnych korporacjach, gdzie pracują ludzie młodzi i wykształceni, propozycja przystąpienia do organizacji związkowej budzi zdziwienie. Czy dla

tęgo, że dla nich związek zawodowy to tylko „Solidarność” i Lech Wałęsa? Raczej nie. Brak zainteresowania wynika przede wszystkim z niewiedzy o tego typu organizacji oraz jej możliwościach pozytywnego wpływu na pracownicze życie. Ponadto, co przykre, ludzie boją się, co pomyśli sobie pracodawca o takim związkowcu i czy zastosuje jakieś represje.

Związkowe patologie

Związki zawodowe wydają się być obciążone pewnymi patologiami. Piotr Palutkiewicz – współzałożyciel i Prezes Zarządu Instytutu Gospodarczego

Instigos w trakcie przeprowadzonej niedawno przez Kluby Liberalne debaty „Czyich interesów bronią związki zawodowe?” zauważył, że głównym zarzutem wobec związkowców są wynagrodzenia, przy czym nie chodzi tylko o ich wysokość. Nie są finansowane ze składek członkowskich i największym zagrożeniem jest to, że etatowych związkowców można przekupić. Pracodawca obieca na przykład, że przyzna podwyżkę związkowcowi, aby ten zadziałał zgodnie z jego intencją. To między innymi powoduje, że związki nie kojarzą się pozytywnie. W odpowiedzi na to Piotr Szumlewicz – ekspert i doradca OPZZ, przewodniczący

Rady Mazowieckiej OPZZ – wyjaśnił, że etat związkowy oznacza delegowanie danego pracownika do pełnienia funkcji w związkach zawodowych na tych samych warunkach płacowych, jakie miał na etacie w firmie. Jeżeli więc ktoś przed delegowaniem miał wysokie wynagrodzenie, jako związkowiec będzie miał takie samo. Zaproponował, żeby w celu poprawienia sytuacji etatowi związkowcy przestali być opłacani przez pracodawcę, a stali się delegowanymi przez związki zawodowe inspektorami pracy.

Romans z polityką

Mimo różnych słabości związki zawodowe w Polsce wciąż mają się dobrze. Być może dlatego, że obecnie są to już gildie zawodowych związkowców, a nie związki. Centrale związkowe uczestniczą w różnych formach i stadiach prac nad tworzeniem prawa oraz nadzorze nad jego przestrzeganiem.

Jest na przykład Rada Dialogu Społecznego, powołana przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w 2015 r., w której jest miejsce na rozmowę i współpracę na szczeblu centralnym na linii rząd – pracodawcy – pracownicy. Czy jest? Do Rady zaproszono jedynie duże centrale związkowe – NSZZ „Solidarność”, OPZZ i Forum Związków Zawodowych, zapominając o niezrzeszonych związkach zawodowych. Według Piotra Szumlewicza, Rada ma wyłącznie konsultacyjny charakter. Ustawa daje niewiele kompetencji związkom zawodowym na tym poziomie.

Taka forma uczestnictwa w procesie legislacji rodzi pewne pokusy, które dzisiaj boleśnie widać na polskiej scenie politycznej. Upolitycznienie prowadzi do populistycznych i niezrozumiałych postulatów działaczy związkowych. Na przykład związki poparty powrót do zróżnicowanego wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn, co w efekcie dyskryminuje kobiety. Przecież równe prawa w zakresie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn nie stoją na przeszkodzie w wypracowaniu mechanizmów wcześniejszych emerytur dla kobiet. O tym,

czy z takiego prawa skorzystać, powinna decydować sama zainteresowana.

Duże związki zawodowe wypracowały sobie mechanizmy doskonałej współpracy z każdą władzą wykonawczą. Opanowały państwowe spółki, w których niemożliwe jest przeprowadzenie restrukturyzacji czy chociażby przebudowanie struktury zatrudnienia, gdyż związki niezwłocznie szykują się do strajków.

Zarządy tych podmiotów obawiają się zawodowych związkowców, gdyż zdarza się, że „współpraca” z nimi nierzadko skraca ich kadencję. Romans z władzą szkodzi ruchowi związkowemu, gdyż odbiera mu autentyczność. W niedługim czasie konieczna będzie dyskusja nad modelem funkcjonowania ruchu związkowego w Polsce, gdyż związki zawodowe uprawiające politykę dublują partie polityczne.

Na świecie związki zanikają

Bardziej rozwinięte od Polski państwa wypracowały sobie w ostatnich kilkunastu latach pewien konsensus współżycia ze związkami zawodowymi, pozwalając im powoli zanikać, jako organowi zbędnemu. Firmy tolerują ich istnienie, egzekwując jednocześnie regularne weryfikowanie mandatu związkowców do reprezentowania pracowników.

Ciekawy jest pod tym względem proces powstawania struktur związkowych w jednym z amerykańskich zakładów koncernu FCA – dla niewtajemniczonych po prostu Fiat. Pracownicy musieli gremialnie głosować za utworzeniem nowego zakładowego związku zawodowego. Wyniki głosowania okazały się negatywne, w rezultacie czego związek nie powstał.

Kolejnym elementem tego niepisanego konsensusu jest to, że związki zawodowe nie angażują się w politykę przez duże „P”, skupiając się na dbaniu o prawa pracownicze swoich członków. Rządy są z nimi w stałym dialogu, ale jest to bardziej dyskusja związkowca z politykiem, a nie starcie dwóch polity-

ków. Jeśli jakiś związkowiec chce gdzieś awansować, sprawdzić się w biznesie albo zająć się polityką, składa swój związkowy mandat.

Korzyści ze związku

Czytając przepisy ustawy związkowej trudno oprzeć się wrażeniu, że to tylko puste postulaty. Jednakże, jeśli związek zawodowy działa na terenie zakładu pracy, ma możliwość wytypowania osób prawnie chronionych przed zwolnieniem. Wówczas pracodawca nie może bez zgody zarządu zakładowej organizacji związkowej wypowiedzieć bądź rozwiązać stosunku pracy ani też jednostronnie zmienić takim osobom warunków pracy lub płacy.

Warto też zauważyć, że w zakresie praw i interesów zbiorowych związki zawodowe reprezentują wszystkich pracowników, niezależnie od ich przynależności związkowej. To, co może przynieść wymierne korzyści dla pracowników, to fakt, że związkom zawodowym przysługuje prawo prowadzenia rokowań zbiorowych oraz zawierania układów zbiorowych pracy, a także innych porozumień przewidzianych przepisami prawa pracy.

Takie układy zbiorowe pracy, zawierane przez pracodawcę w porozumieniu z organizacją związkową, mogą zastąpić regulaminy wynagrodzeń obowiązujące u danego pracodawcy. Nie do przecenienia jest także rola związku zawodowego w przypadku przejścia zakładu pracy lub jego części na innego pracodawcę.

Czy pracownik rzeczywiście jest słabszą stroną w relacjach z pracodawcą i wymaga szczególnej ochrony prawnej? Pracodawcy pewnie zgodnie odpowiedzą, że nie. Pracownik – mając do dyspozycji inspekcję pracy, sądy pracy i sądy cywilne – nie powinien czuć się „słabszy”. Możliwe jest jednak, że związki zawodowe dbają o niską samoocenę pracowników.

Ten twór powstał w XIX wieku w celu ochrony mas pracujących przed bezwzględными kapitalistami. W tamtych ►



fol. pixabay.com

► czasach związkowcy faktycznie mieli pełne ręce roboty i rzeczywiście przez minione 200 lat wypracowali wiele cennych rozwiązań prawnych chroniących pracowników, dziś uznawanych za oczywistość.

Problem polega jednak na tym, że obecnie związkowcy, szczególnie polscy, zatrzymali się na roku 1960. Usilnie próbują wmówić wszystkim, że związki nadal są niezastąpione, gdyż tylko one potrafią przeciwstawić się krwiożerczym zakusom korporacji i uległych im rządów. Prawo pracy, sądy pracy, inspekcja pracy nie są w stanie dotrzeć wszędzie, gdzie łamane są prawa pracownicze, ale związki tak.

Obciążony pracodawca

Czego może się bać pracodawca, zwłaszcza mały? W ustawie o związkach zawodowych sukcesywnie dopisywano pracodawcy obowiązki, nie bacząc na koszty. Jego obowiązkiem

jest dostarczenie związkowi zawodowemu pomieszczenia oraz urządzeń technicznych do wykonywania działalności związkowej (na szczęście wymaga podpisania odrębnej umowy). Na pracodawców przerzucono obowiązek zbierania składek członkowskich i potrącania ich z wynagrodzenia osób zatrudnionych. Pracodawca musi się liczyć z możliwością kontrolowania go przez związek zawodowy w zakresie przestrzegania prawa pracy lub w wyniku skarg przez Państwową Inspekcję Pracy.

Największym jednak zagrożeniem dla małego pracodawcy jest tzw. międzyzakładowa organizacja związkowa. Może się okazać, że u pracodawcy pracuje osoba będąca członkiem międzyzakładowej organizacji związkowej, która po osiągnięciu pułapu 10 członków - liczonych we wszystkich podmiotach, w których działa - uzyskuje uprawnienia zakładowej organizacji związkowej również u tego pracodawcy. Pociąga to

za sobą możliwość objęcia takiego pracownika ochroną przed rozwiązaniem stosunku pracy, a także wprowadza obligatoryjny obowiązek konsultacyjny w przypadku rozwiązania stosunku pracy z każdym zatrudnionym, który zwróci się o reprezentowanie jego praw do takiej organizacji.

Szeroki wybór związków

W Polsce działają obecnie organizacje zrzeszone w centralach związkowych, oraz organizacje niezrzeszone. Wśród central związkowych mamy do wyboru NSZZ „Solidarność”, Inicjatywę Pracowniczą, Forum Związków Zawodowych, Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych (OPZZ) i Związek Syndykalistów Polski. Nie wszyscy jednak chcą być częścią wielkich central i tworzą własne organizacje. Wśród niezrzeszonych są związki zawodowe tworzone przez pracowników poczty, muzealników, rolników, nauczycieli, zawodowych kierowców, lekarzy, położnych i inne grupy zawodowe.

Założenie związku zawodowego nie jest trudne. Można przystąpić do ogólnopolskiej organizacji związkowej lub powołać własny związek zawodowy w swoim zakładzie pracy. Wystarczy minimum 10 osób, które złożą pisemne deklaracje członkowskie. Trzeba przyjąć statut, wybrać komitet założycielski, zarejestrować związek w Krajowym Rejestrze Sądowym.

Czy pracodawca sam sobie może założyć związek zawodowy? Takie pytanie wydaje się być absurdalne. Do związku zawodowego przystąpić lub zainicjować jego istnienie może każdy, z wyłączeniem osób, które określa się mianem pracodawcy. Znaczy to tyle, że prezes zarządu spółki założyć związku zawodowego nie może, ale już kadrowa tak.

Znane są przypadki pojawiania się organizacji związkowych, które powołano dla reprezentowania interesów pracodawcy w celu kształtowania lub zmiany wewnętrzzakładowych źródeł prawa pracy, np. regulaminu wynagradzania, regulaminu zakładowego funduszu świadczeń socjalnych czy regulaminu pracy.

Tutaj pracodawcy idzie w sukurs zapis art. 30 ust. 5 ustawy o związkach zawodowych. Jeżeli nie osiągnie się porozumienia w zakresie tych dokumentów, decyzję o wprowadzeniu ich w życie podejmuje pracodawca, po uwzględnieniu odrębnych stanowisk poszczególnych związków biorących udział w negocjacjach. A zatem wystarczy zakłócić jednomyślność związkowców, aby możliwe było przejęcie przez pracodawcę kompetencji związków zawodowych.

A co na to pracodawcy? Marek, 40-letni przedsiębiorca z Warszawy opowiedział, jak parę lat temu jeden z jego pracowników wymyślił sobie, że w firmie powstałby się związek zawodowy. Zwrócił się o wsparcie do centrali „Solidarności”. Związek zaproponował mu pobranie ulotek i instruktaży z ich strony internetowej.

Marek nie mógł wyjść z podziwu dla związkowego profesjonalizmu i troski o los jego pracowników. Domyślił się,

że mała czy średnia prywatna firma, taka jak jego, to nie jest dobry materiał na wyhodowanie sobie na niej takiego kolejnego związkowego oddziału. Z biurami, związkowymi etatami, hucznymi imprezami. W małej firmie, statystycznie najczęściej naruszającej prawa pracownicze, nie opłaca się centralom związkowym tworzyć związku zawodowego i pracownicy muszą liczyć tylko na siebie.

Potrzeba istnienia związków zawodowych

Jakub Bińkowski, sekretarz Departamentu Prawa i Legislacji Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, w trakcie debaty Klubów Liberalnych stwierdził, że związki zawodowe są prawdopodobnie niezbędne w dużych zakładach pracy i niekiedy średnich. W małych są zupełnie niepotrzebne. Inne zdanie ma Piotr Szumlewicz, który uważa, że takie orga-

nizacje w zakładach pracy są potrzebne, bo ich celem jest troszczenie się o warunki pracy pracowników. Im mniejszy zakład pracy, tym warunki – także płacowe – gorsze. Państwowa Inspekcja Pracy nie jest w stanie skontrolować wszystkich zakładów pracy, dlatego potrzebne są związki.

Związki zawodowe, wpisane w Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, są obecnie jedyną masową organizacją społeczną skupiającą ludzi pracy. Jeżeli mają istnieć, to konieczne jest wyraźne określenie ich pozycji tak, aby nie trzeba było pytać, czy ich działalność jest korzystna, czy szkodliwa dla gospodarki, pracodawców i pracowników.

W tekście wykorzystano materiały z debaty „Czyich interesów bronią związki zawodowe?”, zorganizowanej przez Kluby Liberalne 18 marca 2018 r. ■

ZWIĄZKI ZAWODOWE W LICZBACH

W 2014 r. związki zawodowe skupiały jedynie 1,6 mln członków (11 proc. zatrudnionych) w 12,9 tys. aktywnych jednostkach organizacyjnych związków. Większość związków działała w podmiotach sektora publicznego (66 proc.). Najczęściej powstawały w średniej wielkości zakładach pracy, zatrudniających między 50 a 249 osób, najrzadziej w podmiotach zatrudniających mniej niż 50 osób (dane GUS).

W badaniach CBOS z 2017 r. „Działalność związków zawodowych w Polsce”, członkostwo w związkach deklarował zaledwie co dwudziesty Polak (5 proc.).

Według raportu OECD „Perspektywy zatrudnienia”, o ile w 1985 r. w krajach OECD członkami związku zawodowego było średnio 30 proc. pracowników, to w 2017 r. tylko 17 proc. W Estonii do związku należy jedynie 4,5 proc. pracowników, w Turcji ok. 6 proc., w Szwecji, Danii i Finlandii – ok. 65 proc. pracowników, a w Islandii – aż 92 proc.

Zmniejszenie popularności związków związane jest m.in. z działalnością prywatnych funduszy ubezpieczeniowych, oferujących ubezpieczenia na wypadek bezrobocia bez wymogu członkostwa w związku.

W Polsce niski współczynnik uzwiązkowienia wynika m.in. z przepisów prawa. Ustawodawca wyłączył możliwość zrzeszania się w związkach zawodowych przez osoby wykonujące pracę zarobkową na innej podstawie niż stosunek pracy. W Sejmie trwają prace nad rozszerzeniem kręgu osób uprawnionych do tworzenia i wstępowania do związków.

Poza tym, zgodnie z obowiązującą ustawą, do założenia organizacji związkowej wymagana jest uchwała co najmniej 10 osób. W małych firmach niekiedy nie ma tylu pracowników, a więc ustawowo nie jest możliwe stworzenie takiej organizacji.

TRUDNE RELACJE ZE SPEKTRUM

Gdy gasną błękitne światła symbolizujące solidarność z osobami dotkniętymi autyzmem, autyści i ich rodziny powracają do codziennej batalii o uzyskanie własnej przestrzeni w społeczeństwie. Medal za nieustępliwość w tej walce należy się przede wszystkim rodzinom.

Anna Schwerin



fot. pixabay.com

Autyzm i Zespół Aspergera powoli przestają być tematami tabu. Paradoksalnie silnie przyczynia się do tego wszechobecny „kult gwiazd” i moda na podkreślanie wyjątkowych cech własnego dziecka.

Z pewnością łatwiej i bardziej trendy (?) jest skwitować niepożądane w towarzystwie zachowania młodego człowieka, że wynika ono z obecności Zespołu Aspergera niż skoncentrować się na codziennej pracy wychowawczej.

Bo przecież ZA to „choroba geniuszy”. Niedowiarkom bez większych problemów można wskazać listy wyjątkowo utalentowanych postaci historycznych i współczesnych o różnej długości i – niestety – wiarygodności.

Trudna akceptacja

Ale zarazem takie powierzchowne i wybiórcze rozumienie zagadnienia można łatwo zdemaskować pytaniem o orzeczenie o niepełnosprawności. Pozornie krótkie i proste, zawiera w sobie całe doświadczenie drogi, którą przebywają rodzice dzieci: od wstępnej diagnozy autyzmu, przez zbieranie kolejnych dokumentów ją potwierdzających, aż po właściwe orzeczenie wydawane zwykle na 2-3 lata.

Dochodzi do tego budowanie własnej świadomości o obecności w życiu trwale niepełnosprawnego dziecka. Akceptacja tego faktu bywa o wiele trudniejsza, gdy dziecko jest w grupie tzw. wysoko funkcjonującej, czyli na pierwszy rzut

oka jest pełnosprawne. Najgorszą wersją postępowania jest jednak wypieranie problemu. Wtedy nikt „z zewnątrz” (przedszkole, szkoła) nie jest w stanie udzielić dziecku pomocy – blokuje ją rodzicielska wszechwładza prawna. Prawdą też jest, że autyzm nie jest chorobą i nie ma na niego lekarstwa. Jedynym sposobem okiełzmania autyzmu jest terapia (indywidualna lub zbiorowa), która pomaga osobie ze spektrum autyzmu „wejść” w przestrzeń społeczną. Z jakim skutkiem – tego nigdy nie da się przewidzieć.

To autyzm i co dalej...

Po raz pierwszy ze słowem na „a” zetknęłam się w 1995 r. na kursie hipoterapii. Wykładowcą był jeden z założycieli Fundacji SYNAPSIS – prywatnie ojciec autystycznego dziecka. Pamiętam jego ogromne zaangażowanie i chęć przekazania jak najwięcej informacji o radzeniu sobie z niepełnosprawnością osoby bliskiej, a zarazem atmosferę niezrozumienia problemu ze strony słuchaczy.

Wspólnym punktem odniesienia stało się przywołanie filmu „Rain Man” (reż. Barry Levinson, 1988) – wówczas bardzo popularnego, głównie ze względu na mistrzowską kreację Dustina Hoffmana w roli genialnego matematyka – autysty. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się, że osoby takie „Rain Man” są wśród nas.

Generalnie rzecz ujmując, ostatnie 20 lat ubiegłego wieku było etapem rozpoznawania środowiska osób dotkniętych spektrum autyzmu, a fundacje skupiały się przede wszystkim na wspieraniu swoich członków w ich codziennej pracy z bliskimi niepełnosprawnymi oraz na przekonywaniu urzędników i szeroko rozumianego społeczeństwa do zauważenia problemu.

Od tego czasu na szczęście wiele się zmieniło. Powstało wiele nowych organizacji zajmujących się różnymi odmianami autyzmu – również poszczególnymi grupami wiekowymi. Ich działania zewnętrzne, edukacyjne, z roku na rok są coraz bardziej imponujące.

Oswajanie świata

Oto kilka tegorocznych przykładów. W kwietniu ruszyła kampania „Autyzm – potrafię rozpoznać” Fundacji Promitis, której celem jest m.in. edukacja rodziców dzieci w wieku żłobkowym i przedszkolnym na temat pierwszych objawów autyzmu. W Gmachu Głównym Muzeum Narodowego w Warszawie odbyła się XXX Charytatywna Aukcja Dzieł Sztuki organizowana przez Fundację SYNAPSIS, podczas której licytowano nie tylko dzieła uznanych artystów, ale także już po raz drugi prace stworzone przez osoby ze spektrum autyzmu.

Z dużym zainteresowaniem spotkała się też dyskusja „Miłość na planecie Aspi. Gdy facet ma zespół Aspergera” w gronie samych par, która odbyła się w jednej z warszawskich ka-

wiarni, połączona z prezentacją książek: „Czy mój facet jest bez serca?” Rudy Simone oraz „Jak być szczęśliwą pod jednym dachem z Asparagusem” Agnieszki M. Kaszukur-Kulp.

Publikacji książkowych na temat Zespołu Aspergera – zarówno naukowych, jak i popularnych – jest coraz więcej, co świadczy o skali zjawiska. Kolejnym świadczącym o tym dowodem był „Artyzm, Autyzm, Autentyzm” – specjalny pokaz filmów zrealizowanych przez studentów ze spektrum autyzmu w Warszawskiej Szkole Reklamy. W ogóle o dużym szczęściu mogą mówić dorośli autystycy, których zdolności w dowolnej dziedzinie wspiera rodzina, wykorzystując szanse w zdobywaniu pieniędzy dla projektów organizacji pozarządowych. Dzięki takim wydarzeniom osoby ze spektrum pokazują się jako pełnoprawni twórcy, ale gdy zgasną reflektory, wszystko wraca do punktu wyjścia.

Na szczęście można liczyć na aktywnie działające grupy (zamknięte i otwarte) w mediach społecznościowych, które starają się w wiarygodny sposób przekazywać różnorodne informacje dotyczące osób ze spektrum. Tu życie trwa bez przerwy.

Windows czy Linux?

Eksplozja tematów i działań dotyczących osób ze spektrum autyzmu nie jest przypadkowa, ponieważ właśnie teraz dzieci założycieli pierwszych fundacji i stowarzyszeń osiągnęły pełnoletniość. Oznacza to dla ich rodziców nowe wyzwania i ponowne przecieranie szlaków. W poczuciu odpowiedzialności za losy autystycznych córek i synów, pracują nad znajdowaniem lub tworzeniem przyjaznych dla nich środowisk pracy, borykają się z doświadczeniami wchodzenia osób ze spektrum w związki, w rodzicielstwo, starają się zadbać o ich bezpieczną przyszłość finansową (na wszelki wypadek).

Wykonują mrowczą pracę, aby tłumaczyć, że autyzm nie jest chorobą i nie powodują go szczepionki. Że osoby ze spektrum mogą doskonale funkcjonować w społeczeństwie, jeżeli tylko społeczeństwo zrozumie sposób myślenia i działania takiego człowieka. Niekiedy z pomocą przychodzą seriale telewizyjne. Ostatnio pojawiły się dwa: angielski „Słowo na a” oraz amerykański „The good doctor”. W tym ostatnim pojawiła się scena ilustrująca nasze uprzedzenia wobec osób ze spektrum: genialny chirurg-autysta miał zoperować pacjenta – autystę. Kochający swojego syna rodzice poprosili o zmianę chirurga ze strachu, że osoba ze spektrum nie wykona poprawnie swojego zadania.

A zatem, jak to jest z naszą wiedzą na temat autyzmu? Może zaczniemy od porównania: my operujemy systemem Windows, a osoby ze spektrum posługują się Linuxem. Spróbujmy poznać się nawzajem, zwłaszcza że – według informacji ONZ – autyzm, obok raka, cukrzycy i HIV, jest jednym z najpoważniejszych problemów zdrowotnych współczesnego świata. ■

SENIORZY POTRZEBUJĄ NOWYCH MIESZKAŃ

Programy budownictwa mieszkaniowego nastawione były dotychczas albo na ogólne zwiększenie liczby mieszkań, albo na ich budowę dla grupy wiekowej 30 – 45 lat. Konieczne jest jednak uwzględnianie potrzeb innych grup wiekowych, w szczególności seniorów.

Włodzimierz Witkowski



fot. pixabay.com

Nasze potrzeby mieszkaniowe zmieniają się w zależności od tego, na jakim etapie życia się znajdujemy. Inne są bowiem oczekiwania i możliwości młodego człowieka, dopiero wchodzącego w życie, a zupełnie inne – członka wieloosobowej rodziny. Z punktu widzenia potrzeb mieszkaniowych wyróżniamy zatem pięć rodzajów gospodarstwa domowego (GD):

1. Wyjście z domu rodzinnego – jednoosobowe GD;
2. Wstąpienie w związek małżeński, brak dzieci – dwuosobowe GD;
3. Rozwój rodziny – wieloosobowe GD;
4. Opuszczenie domu przez dzieci – dwuosobowe GD;
5. Śmierć jednego z małżonków – jednoosobowe GD z wariantem:
niepełnosprawność – GD bez możliwości samoobsługi.

Rzeczywiste potrzeby mieszkaniowe są więc zmienne. Należy zatem odejść od modelu „mieszkania na całe życie” i przyjąć inny model zaspokajania potrzeb. W 2011 r., jak wynika z Narodowego Spisu Powszechnego, w miastach odsetek małych

jedno- i dwuosobowych GD przekraczał 55 proc. Odsetek ten obecnie wynosi ok. 60 proc. To głównie seniorzy, w części zaś studenci i młode osoby na progu kariery życiowej.

Model zaspokajania potrzeb

Podstawą polityki i gospodarki mieszkaniowej powinien stać się następujący model (gdzie: **P.** – przeznaczenie, **R.** – rozwiązanie techniczne, **L.** – lokalizacja, **I.** – inwestorzy).

1. Najem pokoju (jedna lub dwie osoby).

- P.** jednoosobowe (ew. dwuosobowe) GD, osoby młode, spożywające główny posiłek poza mieszkaniem,
- R.** – mieszkanie wielopokojowe: pokoje + łazienka(i) + kuchnia (możliwość przygotowania prostych posiłków), + ew. pokój dzienny (telewizja i in.);
– domy akademickie, internaty, pensjonaty (parametry jw. + stołówka/restauracja i pomieszczenia do nauki)
- L.** poza ścisłym centrum, lecz w rejonach o dobrze rozwiniętej komunikacji zbiorowej;
- I.** prywatni, samorządy lokalne (zakwaterowanie uczniów)

i studentów, wychowanków domów dziecka, ofiar klęsk żywiołowych i in.).

2. Najem samodzielnego mieszkania

- P.** dwuosobowe (niekiedy jednoosobowe) GD, osoby młode, początkowo bez dzieci;
- R.** mieszkanie jedno- lub dwupokojowe w budynku wielorodzinnym;
- L.** poza ścisłym centrum, lecz w rejonach o dobrze rozwiniętej komunikacji zbiorowej;
- I.** prywatni, a także samorządy lokalne (mieszkania komunalne i socjalne, zakwaterowanie specjalistów spoza terenu, ofiar klęsk żywiołowych i katastrof budowlanych).

3. Pierwsze mieszkanie własne lub spółdzielcze

- P.** dwuosobowe (także jednoosobowe lub wieloosobowe) GD, rodziny młode, niekiedy z dziećmi;
- R.** mieszkanie dwupokojowe (niekiedy także trzypokojowe) w budynku wielorodzinnym;
- L.** dowolna, lecz w niewielkiej odległości od infrastruktury społecznej – przedszkole, szkoła (infrastruktura może podążać za budownictwem mieszkaniowym);
- I.** prywatni (deweloperzy), spółdzielnie mieszkaniowe.

4. Dom lub rodzinne mieszkanie własne.

- P.** wieloosobowe GD, rodziny z dziećmi;
- R.** dom (segment) lub mieszkanie wielopokojowe w budynku wielorodzinnym; W przypadku zabudowy jednorodzinnej wartym rozpropagowania jest przyjęte w Słowacji rozwiązanie – budowa „asymetrycznego” domu dwurodzinnego, w którym obok dużego mieszkania znajduje się małe. Początkowo wynajmowane, później służy jako samodzielne mieszkanie dla dorosłego dziecka, także po założeniu rodziny. Po wyjściu z domu pozostałych dzieci i pojawieniu się wnuków na stępuje zamiana – rodzice przechodzą do mniejszego mieszkania, większe odstupując następnemu pokoleniu.
- L.** poza ścisłym centrum, w pobliżu szkół i przedszkoli, z łatwym dostępem do terenów sportowo-rekreacyjnych;
- I.** prywatni (mieszkańcy i deweloperzy), spółdzielnie mieszkaniowe, a także samorządy lokalne (rodziny wielodzietne, rodzinne domy dziecka).

5. Mieszkanie trzeciego wieku.

- P.** dwu- i jednoosobowe GD, osoby w wieku poprodukcyjnym;
- R.** – mieszkanie dwu- lub trzypokojowe (niekiedy „półtorapokojowe”) w budynku wielorodzinnym, dobrze wyposażenie techniczne, w tym winda; możliwość obsługi mieszkańców o obniżonej sprawności (sprzątanie, zakupy, obsługa pielęgniarska i inne), możliwość rozszerzenia o dalsze funkcje wymienione niżej;
 - pensjonaty – parametry jw., rozszerzone o bar-restaurację, klub-kawiarnię, sale ćwiczeń, pracownie i inne;
- L.** peryferyjna, z łatwym dostępem do usług medycznych, kompleksów zieleni, terenów sportowo-rekreacyjnych i do komunikacji zbiorowej (mało kłopotliwy dojazd do centrum);

- I.** prywatni (mieszkania na własność i na wynajem), spółdzielnie, a także samorządy lokalne (zakwaterowanie osób zwalniających większe mieszkania komunalne w dzielnicach centralnych).

Budynek dla seniorów - propozycja programu

Istnieją w Polsce domy opieki, lecz nie ma budynków dla seniorów – budynków wielorodzinnych czy pensjonatów przeznaczonych dla osób trzeciego wieku. Tego typu budynki istnieją w Szwecji (np. w Upplands Väsby), czy też w formie pensjonatowej w Niemczech (np. w Bad Pyrmont), jak też w USA (w szczególności na Florydzie). Konieczne jest rozpoczęcie takiego budownictwa również w Polsce, w pierwszym etapie w dużych miastach, poza centrum.

W wymienionych krajach budynki takie przeznaczone są wyłącznie dla seniorów. Wydaje się jednak, że ze względów społecznych w Polsce należałoby realizować budynki dla mieszkańców o zróżnicowanej strukturze wiekowej, gdzie seniorzy stanowiliby 50 – 70 proc. mieszkańców. Mieszkańcami młodszymi mogą być członkowie rodzin seniorów czy też osoby związane z obsługą.

W budynku (zespole budynków) dla seniorów powinien obok mieszkań znaleźć się towarzyszący program społeczny, w tym:

- a)** restauracja / stołówka;
- b)** klubo-kawiarnia + biblioteka;
- c)** gabinet rehabilitacji / sala fitness;
- d)** gabinet medyczny (dyżury pielęgniarskie, lekarskie);
- e)** pokoje rekreacyjne (majsterkowanie, zajęcia plastyczne, prace ręczne);
- f)** pralnia, suszarnia;
- g)** ew. gabinet kosmetyczny (fryzjer, manicure, pedicure);
- h)** pokój MOPS;
- i)** kiosk - recepcja;
- j)** ew. pokoje gościnne (wynajem przyjezdnym rodzinom i innym);
- k)** parking lub garaż.

W przypadku większego zespołu budynków społeczny program towarzyszący może być rozszerzony - np. o przychodnię lekarską (zamiast gabinetu), aptekę czy sklep spożywczy. Ze względu na koszty programu społecznego budynek (zespół budynków) powinien mieścić nie mniej niż 50 – 60 mieszkań. Budynek powinien być pozbawiony barier architektonicznych, wyposażony w windy (dojście do wind bez schodów), umożliwiać poruszanie się na wózkach inwalidzkich. Zwarta bryła budynku i dobra izolacja termiczna powinny zapewniać energooszczędność budynku. Współczesne wyposażenie techniczne powinno być projektowane z myślą o niskich kosztach eksploatacji. Preferowana forma to spółdzielnia mieszkaniowa, choć możliwe są także inne formy prawne, jak np. TBS, a nawet budynek komunalny (dla osób zajmujących dziś duże lokale komunalne bez wygód). ■

NAJWYŻSZA PORA NA UREGULOWANIE ZWIĄZKÓW PARTNERSKICH

Czy nie jest dyskryminujące skazywanie osób żyjących w związkach jedнопłciowych na podejmowanie nadzwyczajnych kroków prawnych, by osiągnąć ułamek tego, co przysługuje małżeństwom? Czy nie zasługują na to, aby chociaż w części przyznać im prawa przysługujące małżeństwom?

Piotr Skorupski



fot. pixabay.com

Niedawno miałem okazję prowadzić interesującą dyskusję z pewną panią adwokat na temat związków partnerskich. Moja rozmówczyni była zdania, że wprowadzenie w Polsce rozwiązań prawnych, które pozwoliłyby na takie związki (w domyśle jedнопłciowe, aczkolwiek nie tylko) nie jest konieczne, ponieważ na gruncie obecnie obowiązujących przepisów można osiągnąć podobny efekt. To prawda, w niektórych obszarach jest to do wykonania. Ale nie we wszystkich.

Uprzywilejowane małżeństwa

O jakich jednak prawach mowa? Pierwszy przykład z brzegu – małżonkowie po

sobie dziedziczą z mocy prawa (jest to tzw. dziedziczenie ustawowe, o ile żadne z małżonków nie sporządziło testamentu). Pary żyjące w konkubinatach mogą teoretycznie osiągnąć efekt podobny do dziedziczenia ustawowego, sporządzając odpowiedni testament, ale wiąże się to z dodatkowymi kosztami, nie wspominając o tym, że świadomość tego, żeby pamiętać o konieczności sporządzenia testamentu, nie jest wcale powszechna.

Innym przykładem jest prawo do informacji o stanie zdrowia nieprzytomnego partnera lub małżonka. Otóż małżonkowie z mocy samego prawa są upoważnieni do uzyskania w szpitalu takiej informacji. Teoretycznie partner żyjący w konkubina-

cie także jest do tego uprawniony (ustawa o prawach pacjenta i Rzeczniku Praw Pacjenta za osobę bliską uznaje osobę znajdującą się we wspólnym pożyciu z pacjentem), jednak w praktyce bardzo trudno jest udowodnić w szpitalu, że jest się z daną osobą we wspomnianym „wspólnym pożyciu”.

Jeśli partnerzy żyjący w konkubinacie chcą zapewnić sobie wzajemnie prawo do uzyskania informacji o stanie zdrowia, muszą złożyć odpowiednie oświadczenie (najlepiej w formie aktu notarialnego, żeby pracownicy służby zdrowia nie mieli wątpliwości co do ważności takiego oświadczenia). Stanowi to dodatkową trudność dla osób żyjących w konkubinatach.

Są też „bonusy”, które przysługują wyłącznie osobom żyjącym w związkach małżeńskich – np. możliwość wspólnego rozliczania podatku dochodowego. Jest to wyjątkowy przywilej, którego nie można osiągnąć bez wstąpienia w związek małżeński. Osoby żyjące w konkubinatach zdecydowanie powinny móc rozliczać się wspólnie, chociażby z racji tego, że żyjąc razem odciążają budżet państwa w zakresie np. udzielania im pomocy socjalnej.

Konieczna zmiana konstytucji?

Ze strony przeciwników uregulowania związków partnerskich najczęściej padającym argumentem jest ten o niekonstytucyjności takiego rozwiązania. Twierdzą oni, że Konstytucja RP uniemożliwia uchwalenie przepisów, które zrównywałyby w niektórych czy we wszystkich aspektach małżeństwa oraz związku partnerskie. Rzeczywiście, Konstytucja RP w art. 18 przewiduje, że małżeństwo, jako związek kobiety i mężczyzny, znajduje się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej. Nie znajduje się w nim jednak zakaz przyznania innym rodzajom związków praw podobnych lub nawet identycznych do tych, które przysługują małżeństwom.

Sąd Najwyższy w przeszłości kilkakrotnie wypowiadał się na temat projektów ustaw dotyczących związków partnerskich składanych w 2012 r. przez SLD, PO oraz Ruch Palikota i w swoich opiniach za każdym razem stawał na stanowisku, że wykluczona jest regulacja analogiczna lub bardzo zbliżona do unormowań dotyczących hetero-

seksualnego małżeństwa bez uprzedniej zmiany art. 18 Konstytucji RP.

Nawet jeśli przyjąć opinie Sądu Najwyższego za uzasadnione, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby w przyszłości zmienić ustawę zasadniczą w taki sposób, aby nie było zarzutów co do konstytucyjności proponowanych regulacji. Do tego rzecz jasna konieczny jest odpowiedni klimat polityczny, w szczególności w postaci większości dwóch trzecich głosów w Sejmie po stronie zwolenników takiego rozwiązania, których w tej chwili nie ma. Nie znaczy to jednak, że w nadchodzących latach wahadło nie przechyli się w stronę zwolenników związków partnerskich.

Prawo w tyle za realiami

lus sequitur vitam – prawo podąża za życiem. Znaczy to ni mniej ni więcej, że prawo powinno się dostosowywać do zmieniających się społecznych relacji. Coraz więcej osób żyje w konkubinatach. Coraz mniej osób wstępuje w związki małżeńskie. W latach 80. i na początku lat 90. zawierano w Polsce ok. 250 tysięcy małżeństw; w 2016 r. zawarto ich raptem 195 tysięcy.

Panuje coraz większa świadomość, że wykluczanie par jedнопłciowych z przywilejów przysługujących wyłącznie małżeństwom heteroseksualnym jest dyskryminujące dla tych pierwszych. Obyczajowość w Polsce na tyle się w ostatnich dziesięcioleciach zmieniła, że najwyższy czas, aby pary homoseksualne mogły otrzymać od państwa polskiego możliwość sformalizowania swoich

związków i korzystać przynajmniej z części przywilejów przysługujących małżonkom.

Z sondażu przeprowadzonego w czerwcu 2017 r. przez IPSOS wynika, że 52 proc. Polaków zgadza się na przyznanie parom jedнопłciowym prawa do związków partnerskich. Dla porównania, w 2010 r. związki partnerskie gejów i lesbijek akceptowało tylko 25 proc. pytanym przez CBOS. Jak widać, tendencja jest wzrostowa.

Obecnie perspektywa odpowiednich zmian w prawie, które wprowadziłyby do polskiego porządku prawnego związki partnerskie lub jedнопłciowe małżeństwa, jest z politycznego punktu widzenia dosyć odległa. Nie zapominajmy jednak, że w innych krajach, które przed laty uchodziły za konserwatywne, udało się takie zmiany przeprowadzić.

Niechaj dobrym prognostykiem będzie przypadek katolickiej Irlandii, w której w 2015 r. odbyło się referendum, dzięki któremu umożliwiono zawieranie małżeństw parom tej samej płci. Kilka lat wcześniej, bo w 2011 r., wprowadzono do irlandzkiego porządku prawnego możliwość rejestrowania związków partnerskich i to pomimo sprzeciwu hierarchów kościoła katolickiego. Natomiast już cztery lata później zezwolono na małżeństwa jedнопłciowe. Jest tylko kwestią czasu, kiedy podobne rozwiązania zostaną wprowadzone w Polsce. ■

Piotr Skorupski, adwokat z Kancelarii Prawnej Wąsik & Skorupski.

MŁODZI INNOWACYJNI 2018

M. Szkaradek

21 marca 2018 r., podczas konferencji naukowej AUTOMATION 2018 w Warszawie, ogłoszono już po raz 10. wyniki konkursu Młodzi Innowacyjni na najlepsze prace doktorskie oraz dyplomowe (magisterskie i inżynierskie) z obszaru automatyki, robotyki i pomiarów. Organizatorem konkursu, jest Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów PIAP. Wśród nagrodzonych prac znalazły się m.in. opracowania poświęcone tematami takim jak „Wykorzystanie metod inteligencji obliczeniowej dla celów diagnostyki i klasyfikacji stanów anormalnych – wybrane zastosowania w medycynie” autorstwa mgr inż. Agnieszki Mikołajczyk, PG, czy „Projekt Konstrukcyjny manipulatora chirurgicznego do prac rozwojowych nad haptycznym sprzężeniem zwrotnym” autorstwa inż. Piotra Falkowskiego, PW.

Prace były oceniane przez niezależną komisję złożoną z wybitnych ekspertów z dziedzin automatyki, robotyki i pomiarów. Przewodniczącym komisji jest prof. dr hab. inż. Janusz Kacprzyk, członek korespondent PAN, Fellow of IEEE. Jak wskazuje sekretarz Komisji dr inż. Małgorzata Kaliczyńska, każdego roku przybywa zgłoszeń konkursowych, a poziom prac jest bardzo wysoki, toteż wybór tych najlepszych był dla jury niełatwy.

Strona Konkursu: piap.pl/2018/03/26/jubileuszowa-edycja-konkursu-mlodzi-innowacyjni

WŁASNOŚĆ INACZEJ

Od dwóch lat Warszawa żyje aferą reprivatyzacyjną. Mafia, układy, czyszczenie kamienic, miliardowe straty miasta i pokrzywdzeni lokatorzy. Tymczasem to nie jest jedyny problem właścicieli lokali.

Zbigniew Sarata



fot. pixabay.com

Jakiś czas temu „Polityka” (10/2018) odkryła kolejną patologię – celowe zadłużanie spółdzielni mieszkaniowych. Niestety, ja także znalazłem się w grupie odkrywców, bo mój dom, za którego budowę zapłaciłem, nigdy nie należał do mnie. Należy do miasta stołecznego Warszawy.

Spółdzielnie mieszkaniowe, zamiast kupić grunt lub chociażby załatwić użytkowanie wieczyste, dzierżawią grunty od miasta. Mając umowę dzierżawy dostawały pozwolenie na budowę, brały pieniądze od członków spółdzielni, budowały i wydawały przydziały lokali na warunkach własnościowych. Wszyscy udawali, że wszystko jest dobrze. Do czasu.

24 maja 2013 r. skład siedmiu sędziów Sądu Najwyższego podjął uchwałę (III CZP 104/12) stwierdzającą, że nie jest możliwe skuteczne ustanowienie przydziału mieszkania w przypadku, gdy spółdzielnia nie dysponuje własnością gruntu ani nie jest na rzecz spółdzielni ustanowione użytkowanie wieczyste.

Skutki uchwały SN

Co z tego wynika? Spółdzielca nie może założyć księgi wieczystej na swój lokal. Skoro nie może założyć księgi – nie może uzyskać kredytu hipotecznego. Ponieważ mieszkanie lub dom ma wadę prawną – sprzedaż jest niemożliwa lub co najmniej utrudniona. A jeżeli do sprzedaży dojdzie – uzyska się mniej niż wynosi wartość rynkowa. Kredytu nie dostanie też nabywca

– musi zapłacić gotówką, a takich jest niewielu. Lokatorzy budynku nie mogą założyć wspólnoty i są skazani na wzięte z sufitu czynsze ustalane przez prezesów spółdzielni mieszkaniowych.

Największą niewiadomą jest jednak, co się stanie po zakończeniu umowy dzierżawy. Wprawdzie do tej pory umowy były odnawiane na kolejne lata, ale nie musi tak być zawsze. Względnie niegroźna jest perspektywa przejęcia budynków przez miasto lub przez firmę, której miasto powierzy administrowanie domami. Czynsze pewnie się nie zmienią, lokatorzy będą mieli gdzie mieszkać, ale o sprzedaży mieszkań i odzyskaniu pieniędzy już nie będzie mowy.

Gorzej, gdy ktoś wpadnie na pomysł bezwzględnego zastosowania prawa i miasto sprzeda teren. Pojawią się nowi właściciele kamienic. Lokatorzy dostaną odszkodowanie w postaci nominalnej wysokości wkładu budowlanego sprzed parudziesięciu lat i lokal socjalny za lotniskiem Okęcie lub za Dworcem Wschodnim.

Co mówi prawo

Praktyka budowania na gruntach dzierżawionych jest sprzeczna z prawem. Własność budynku idzie za własnością gruntu (art. 48 k.c.). Wyjątkiem jest użytkowanie wieczyste (art. 235 § 1 k.c.). Jeżeli grunt należy do miasta i nie ma użytkowania wieczystego, to na podstawie ustawy o gospodarce nieruchomościami (art. 24 ust. 1) i ustawy o ochronie praw lokatorów i mieszkaniowym zasobie gminnym (art. 2 ust. 1 pkt 10) budynek należy do gminnego zasobu nieruchomości.

Administrowanie takimi budynkami przez spółdzielnie mieszkaniowe jest sprzeczne z ustawą o spółdzielniach mieszkaniowych (art. 1 ust. 5). Prawo spółdzielcze (art. 213 § 1) zakładało, że spółdzielnia jest właścicielem budynku: w budynkach stanowiących własność spółdzielni mieszkaniowej członkom przysługuje prawo używania przydzielonych im lokali mieszkalnych.

Skala problemu

Zadałem sobie trud i w lecie 2016 r. na podstawie mapy własności sporządziłem listę budynków wzniesionych na gruntach dzierżawionych w Warszawie. Było ich ponad. Sprawdziłem liczbę mieszkań w tych budynkach i okazało się, że mieszka w nich 14 tys. rodzin. Z innych źródeł wiem, że warszawskie spółdzielnie nie mają własności budynków wzniesionych na 400 ha dzierżawionego gruntu. Wielkość problemu w skali kraju jest trudna do oszacowania. ■



ANDRZEJ ZALESKI
adwokat

POLSCY PRZEDSIĘBIORCY POWINNI ZJEDNOCZYĆ SIŁY

Organizacje grupujące małe i średnie przedsiębiorstwa postulują powołanie powszechnego samorządu gospodarczego. Postulat ten, jak na razie, nie znajduje dostatecznego zrozumienia. A przecież jest to takie ważne.

Silna gospodarka to podstawowy miernik powodzenia danego kraju, jego pozycji międzynarodowej i pomyślności obywateli. A nawet więcej – to warunek jego istnienia i suwerenności. Sprawa szczególnie ważna dla nas, dla Polski.

Wśród wielu czynników mających wpływ na budowę silnej gospodarki zapominamy o jednym. Jest nim istnienie Powszechnego Samorządu Gospodarczego. Samorządu w pełni demokratycznego, realizującego funkcje publicznoprawne, finansowanego z budżetu państwa, którego uczestnikami byłyby wszystkie podmioty gospodarcze.

Istnienie tego rodzaju samorządu jest niezbędnym warunkiem rozwoju gospodarczego, zwłaszcza w przypadku przyjęcia euro jako waluty, co wiąże się z pogłębieniem procesów integracyjnych w ramach Unii Europejskiej.

Stanowi dostosowanie naszego ustroju społeczno – gospodarczego do warunków panujących w rozwiniętych krajach strefy euro, gdzie istniejący powszechny samorząd gospodarczy jest czynnikiem mający wpływ na stabilizację społeczno – polityczną. Ułatwi naszym przedsiębiorcom, zwłaszcza małym i średnim, konkurowanie na wspólnym, europejskim rynku.

To właśnie środowisko małych i średnich firm wysunęło i promuje ideę budowy takiego samorządu. O jego roli i znaczeniu przekonali się, gdy podjęli próbę sprzedaży swoich produktów, zwłaszcza rolno – spożywczych, na terenie Niemiec. Okazało się, że bez zgody lokalnego samorządu gospodarczego nie ma możliwości bezpośredniej sprzedaży na ulicach czy targowiskach miast niemieckich.

Utworzenie powszechnego samorządu gospodarczego jest niezbędnym warunkiem rozwoju demokracji partycypacyjnej w której coraz więcej władztwa jest przekazywane w ręce obywateli. Stanowi podstawę rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, a co za tym idzie - decentralizacji państwa. Jest

zaprzeczeniem idei centralnego zarządzania, za którą optuje obecna władza. To może tłumaczyć, dlaczego projekt ustawy, przygotowywany od ponad roku przez Ministerstwo Rozwoju, do dziś nie wyszedł z resortu

Samorząd wpływa również na stabilizację systemu ustrojowego i politycznego, wobec przekazania znaczącej części władztwa państwowego przedsiębiorcom, kosztem władzy polityków.

Aby jednak powstał, należy uzmysłwić przedsiębiorcom, że tylko budowa wspólnoty samorządowej pozwoli im rozwijać własne firmy, podczas gdy niczym nie okiełzana wolna konkurencja prowadzi je do wzajemnego wyniszczania.

Należy przekonać polityków, że odebranie im części władztwa i przekazanie w ręce samorządu jest działaniem w interesie państwa, warunkiem jego rozwoju i pomyślności. W szczególności tych polityków, którzy wyznają wartości liberalne, którym leży na sercu dobro kraju i rozwój małych i średnich firm. Pierwszy krok uczynił Kukiz'15, organizując w końcu marca w Sejmie konferencję w tej sprawie. Zaprezentowano na niej projekt Ustawy o izbach przemysłowo-handlowych, przygotowany przez zespół politologów skupionych wokół Zakładu Badań Władzy Lokalnej i Samorządu Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pod kierunkiem prof. dr hab. Roberta Kmiecika.

Trzeba wskazać istniejącym organizacjom pracodawców i przedsiębiorców, iż istnienie powszechnego samorządu gospodarczego nie stanowi dla nich zagrożenia, a stanowi realną szansę na kształtowanie polityki gospodarczej państwa. Obecnie członkostwo w tych organizacjach jest dobrowolne, ale zrzeszają one zaledwie 3-5 proc. ogółu polskich przedsiębiorców.

Budowa powszechnego samorządu gospodarczego jest jednym z najpilniejszych zadań stojących przed polskimi elitami politycznymi. ■

EDUKACJA BEZ TABU – CZY TO TAKIE TRUDNE?

Wszechogarniający chaos informacyjny osacza również najmłodszych. I nawet najsroźsza rodzicielska cenzura nie uchroni ich przed unoszącymi się „w powietrzu” słowami typu wojna, zagłada, śmierć, feminizm, rasizm, demokracja. A towarzyszące im emocje budzą naturalną dziecięcą ciekawość.

Anna Schwerin



fol. Anna Taraska

Od lat łamię daną sobie obietnicę, że podczas Warszawskich Targów Książki będę „tylko” oglądać. Kiedyś mogłam jeszcze liczyć na solidarność wystawców, ale od jakiegoś czasu są zaopatrzeni w terminale płatnicze, co zdecydowanie komplikuje moją sytuację. Nowości szukam zawsze w dwóch segmentach: książkach o muzyce i przeznaczonych dla dzieci o tzw. ważnych sprawach.

Kilka lat z dużym zainteresowaniem śledziłam serię „Mała książka o...”, która zaistniała na rynku wraz z naszym przystąpieniem do Unii Europejskiej. Autorkami są szwedzkie pisarki Pernilla Stalfelt (miłość, przemoc, tolerancja, życie, śmierć) i Sassa Buregren (feminizm, demokracja).

Ich wydawca dostrzegł lukę ofertową i wprowadził do obiegu książki dla dzieci tłumaczące trudne czy niepokojące (nie tylko najmłodszych) pojęcia.

Bardzo szybko do serii dołączyli Magdalena Środa (O Gender i innych potworach, Mała książka o tolerancji, Etyka dla myślących), Anna Laszuk (Mała książka o homofobii), Eliza Piotrowska (A ja jestem Polak mały, moim krajem jest świat cały, My, ludzie), Mamadou Diouf (Mała książka o rasizmie) i – uwaga, nowość – Zuzanna Pol (Kim oni są, ci muzułmanie).

Zagłada w utworach dla dzieci

O serii tej przypominałam sobie słuchając zapowiedzi utworów wykonywanych podczas koncertu upamiętniającego 75.

rocznicę likwidacji krakowskiego getta. W Synagodze Tempel na Kazimierzu wystąpiła orkiestra „Józefina” ze Szkoły Muzycznej II Stopnia im. Bronisława Rutkowskiego pod dyrekcją Tadeusza Płatka. W starannie dobranym repertuarze znalazł się również temat Johna Williamsa z filmu „Lista Schindlera”. Solową partię skrzypiec zjawiskowo wykonała Wiktoria Suder – koncertmistrzyni orkiestry.

Wrażenia dopełniła wypowiedź dyrygenta. Tadeusz Płatek oświadczył, że utwór ten jest nieformalnym hymnem zespołu, że szkoła muzyczna działa w budynku, w którym podczas II wojny światowej mieścił się Urząd Pracy i szpital na terenie nazistowskiego getta dla ludności żydowskiej, a uczniowie doskonale znają historię miejsca swojej edukacji.

Ten sam dyrygent parę lat wcześniej objął kierownictwo muzyczne polskiej premiery musicalu „Korczak” Nicka Stimsona (scenariusz, słowa) i Chrisa Williama (muzyka). Spektakl został wystawiony (wraz ze „Strasznym Dworem” Stanisława Moniuszki) z okazji inauguracji nowego gmachu Opery i Filharmonii Podlaskiej – Europejskiego Centrum Sztuki w Białymstoku. Był też wyrazem protestu zespołu przeciw rasistowskim atakom na mniejszości.

Wybór tego tytułu wiązał się również z obchodami Roku Janusza Korczaka (2012). Musical wystawiono pod patronatem UNESCO, przy współpracy Żydowskiego Instytutu Historycznego im. E. Ringelbluma w Warszawie. Wersja koncertowa Korczaka towarzyszyła konferencji naukowej Rzecznika Praw Dziecka.

Zadbano także o stronę edukacyjną. Podczas konferencji dla nauczycieli „Z przeszłością w przyszłość. Jak uczyć o Holokauście?” zaprezentowano scenariusze lekcji „W świecie wartości Janusza Korczaka” Anny Janiny Kłoczy i Małgorzaty Rusiłowicz, a także dwie książki dla dzieci: „Powieki – bajka dedykowana Januszowi Korczakowi i jego dzieciom” Michała Rusinka oraz „Co wydarzyło się w czasie Zagłady. Opowieść rymowana dla dzieci, które chcą wiedzieć” Batszewy Dagan – izraelskiej poetki, pisarki i twórczyni metody psychologiczno-pedagogicznej pomagającej przekazywać dzieciom i młodzieży wiedzę o Zagładzie.

Wystawienie musicalu „Korczak” było wydarzeniem bez precedensu. Zaangażowano do niego nie tylko Chór Dziecięcy Opery i Filharmonii Podlaskiej, ale także dzieci i młodzież wyłonione podczas castingu. W sumie w dwóch obsadach na scenie była ich ponad setka w wieku wychowanków Korczaka od 6 do 14 lat. Recenzje były entuzjastyczne i do dzisiaj można po nie sięgnąć na stronie www.korczakmusical.com.

Samemu musicalowi jednak zobaczyć już nie można. Dołączył do tzw. dzieł okolicznościowych. Nie pomogło mu, że powstał specjalnie z myślą o młodych

adeptach sceny musicalowej i ich możliwościach, że patronatu musicalowi udzielił Youth Music Theatre – brytyjska organizacja promująca teatr muzyczny dla młodzieży, że wreszcie przedstawienie docenili krytycy.

Co i jak tłumaczyć?

Podjęwam, że spektakl dotyczący śmierci dzieci jest zbyt trudny do przełknięcia dla dyrektorów teatru. Jak to zareklamować, jak zachęcić publiczność? Może poprosić o pomoc Ministerstwo Edukacji i wprowadzić ten spektakl na listę pozycji obowiązkowych dla uczniów? A przy okazji dla ich rodziców. Po prostu: edukacja przez sztukę.

Zapytałam Tadeusza Płatek, który uczestniczył w castingach dzieci i młodzieży do „Korczaka” o reakcje rodziców przyprawiających pociechy na przesłuchanie. Czy wiedzą, w jakiej sztuce chcą umieścić dzieci? Czy nie obawiają się trudnych pytań? Czy wreszcie nie boją się traumy związanej z tematem, która może wystąpić u wrażliwszych jednostek?

– Rodzice nie mieli, o dziwo, tego typu obaw – odpowiedział Płatek – natomiast my, realizatorzy, baliśmy się, choćby tego, jak powiedzieć dzieciom, że w trzeciej scenie umierają w komórce gazowej. Dlatego na wszelki wypadek poprosiliśmy o pomoc i psychologiczne wsparcie edukatorów z Instytutu Yad Vashem. Sam musical momentami przypomina oratorium, to bardzo symboliczne, poruszające dzieło – dodał.

Na przeciwnym biegunie znajduje się opera dziecięca „Brundibar” Hansa Krasa (1899-1944), dość często pojawiająca się w repertuarze młodych zespołów artystycznych. Najnowsze jej wykonanie odbyło się w połowie kwietnia w warszawskim Teatrze Komedia. W tytułowej roli wystąpił Filip Warot, a towarzyszył mu Chór Dziecięcy Miasta Łodzi, założony, przygotowany i prowadzony przez Waldemara Sutryka oraz muzycy Filharmonii Łódzkiej. „Brundibara” wyreżyserował Artur Hofman. Jak na operę, jest to utwór dość krótki – trwa ok. 40 minut. W konwencji baś-

ni opowiada historię rodzeństwa, które chciało śpiewaniem zarobić na mleko dla chorej matki. A tytułowy Brundibar – nieżyczliwy dzieciom katarzyniarz – w finale zostaje pokonany.

O ile treść wydaje się prosta czy wręcz naiwna, to historia dzieła budzi grozę. Premiera i kolejne spektakle „Brundibara” odbyły się w obozie przejściowym w Teresinie (1943), a po rejestracji na potrzeby nazistowskiego filmu propagandowego „Hitler daje Żydom miasto”, wszyscy wykonawcy zostali wysłani do Oświęcimia. I znowu pojawia się pytanie: jak przekazać tę historię dzieciom.

– Jak najprościej – odpowiada Anita Vranjes, menadżerka zespołu. – Gdy TSKŻ (Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce) zaproponowało nam udział w operze – dodała – wysłaliśmy mail do rodziców i dzieci wyjaśniając historię powstania opery, jej wystawienia 55 razy w Theresienstadt (dzieci wiedzą też o samym Theresienstadt) oraz o losach kompozytora, reżysera, muzyków i samych dzieci-artystów.

W mailu była również informacja, że próby do Brundibara będą próbami dodatkowymi w niedzielę (dzieci normalnie ćwiczą po 6-7 godzin tygodniowo), więc będzie to spore dodatkowe obciążenie i jest to projekt tylko dla chętnych. 90 proc. dzieci wpisało się na listę i przychodziło na niedzielne próby! – podkreśliła Vranjes. – Równocześnie poprzez kontakty z chórami dziecięcymi z Norymbergi czy z Niemieckiej Opery Narodowej (wymiany, wspólne koncerty) pokazujemy dzieciom, że obecni Niemcy to nie są tamci z czasów II wojny światowej i że dzieci takie jak one żyją, śpiewają, bawią się na całym świecie – powiedziała menadżerka zespołu.

Okazuje się zatem, że prostota przekazu sprawdza się przy trudnym temacie w każdej dziedzinie. To my, dorośli mamy obiekcje i lęki, które nas paraliżują. Jeżeli nie wiemy, jak rozmawiać – sięgnijmy po pomoc zawartą w książkach czy spektaklach teatralnych. Na szczęście jest ich coraz więcej. ■

UTRACONA NAGRODA

Najstynniejszą nagrodę dziennikarską ustanowił imigrant z Węgier do USA Joseph Pulitzer. Sukces odniósł opisując tragedie, przestępstwa, sensacje i skandale. Po koniec życia przeznaczył 2 mln dolarów na stworzenie Wydziału Dziennikarstwa na Uniwersytecie Columbia i nagród swego imienia. Nigdy nie jest za późno na skruchę.

Jerzy Cichowicz



fot. pixaby.com

Umiejętnie przeprowadzony wywiad z kimś sławnym i w przełomowym dla niego momencie otworzył niejednemu dziennikarzowi drogę do światowej kariery. Pomijając wszelkie nagrody i wyróżnienia, wywiady posiadają niezwykłą moc sprawczą. Mogą promować nie tylko bohatera wywiadu – także dziennikarz, dzięki starannemu przygotowaniu wywiadu, może wiele zyskać.

Pracując nad pytaniami może wesprzeć się wieloma źródłami i tym samym wspiać na wyżyny wiedzy, intelektualnej perwersji oraz erudycyjnej maestrii. Dlatego redakcyjne opracowanie tekstu, na który składają się wcześniej opracowane pytania i udzielone odpowiedzi, jest tak ważne.

Praca redakcyjna nad odpowiedziami czasami przyjmuje formę pracy grupowej, co często odbiera całości autentyczność i świeżość, ale znacznie ułatwia późniejszą autoryzację tekstu. Autoryzacja prowadzi jednak często do znacznego zniekształcenia wizerunku wszystkich uczestników wywiadu. Doświad-

czony dziennikarz potrafi zapanować nad tymi zagrożeniami i uniknie popadnięcia w przesadę i patos. W moim przypadku nie musiałem się o to wszystko martwić, ponieważ do wywiadu w ogóle nie doszło.

Pomysł na „Pulitzera”

Zamierzałem przeprowadzić wywiad z Posłem na Sejm RP, a jego głównym tematem miała być przyszłość kultury narodowej oraz roli teatru w jej urzeczywistnianiu. Wywiad miał być pełen odważnych dygresji na temat awangardy oraz innych dziedzin sztuki. Aby przygotować się do tego ambitnego zadania, przeczytałem praktycznie wszystko, co o moim niedoszłym rozmówcy znalazłem w Internecie. Przejrzałem także wszystkie dokumenty dostępne w repozytorium Sejmu i prezentujące tzw. aktywność poselską.

Udało mi się to wszystko ogarnąć w trakcie jednej przerwy reklamowej podczas oglądania filmu. Już następnego dnia podjąłem

pierwsze próby kontaktu z Posłem w celu umówienia spotkania. Zakładałem, że przynajmniej jedno takie spotkanie jest konieczne, aby wywiad był wartościowy dla czytelników.

Podczas tych prób zdałem sobie sprawę, że moje szanse na najważniejszą dla dziennikarzy nagrodę są znikome. Dane statystyczne na stronie Uniwersytetu Columbia, który przyznaje nagrody Pulitzera wskazują, że otrzymują je głównie amerykańscy dziennikarze, pisarze, poeci i dramaturdzy, chociaż amerykańskie obywatelstwo aplikującego nie jest warunkiem koniecznym.

Niezrażony tą okrutną statystyką, dzwoniłem na wszystkie udostępnione mi przez wydawcę numery telefonów komórkowych. Tu nadmienię, że zostałem zaopatrzony nie tylko w numer osobistej komórki Posła, ale także w numery jego najbliższych współpracowników.

Zazwyczaj takie rutynowe spotkania polityków z dziennikarzami umawiają ich asystentki lub asystenci. To oni dysponują ich kalendarzami i zarządzają kontaktami i spotkaniami. Organizują wszelkie wyjazdy krajowe i zagraniczne swoich pracodawców. Dlatego kontakt z nimi jest często niezbędny, a zawsze pomocny.

Przez prawie trzy tygodnie nękałem telefonami całą trójkę. Cierpliwie nagrywałem się na elektroniczną sekretarkę i przypominałem za pomocą SMS-ów. Dwa razy moje telefony zostały odebrane. Raz przez asystenta i raz przez współpracownicę o nieznanym mi zakresie obowiązków. W odpowiedzi na moje prośby o umówienie spotkania usłyszałem tylko mało wiarygodne usprawiedliwienia personelu biura poselskiego.

Należę do ludzi, którzy telefon wykorzystują do nawiązywania kontaktów z innymi. Dlatego – jeżeli dzwoni do mnie ktoś ze znajomych lub spodziewam się telefonu od kogoś, kogo wprawdzie nie znam, ale znajomi uprzedzili mnie o jego telefonie, to nie mogąc natychmiast odebrać połączenia – odzwaniając jeszcze tego samego dnia lub na jutro rano. Może dlatego uznałem, że moje kłopoty w nawiązaniu kontaktu z Posłem nie są dziełem przypadku. Idąc tym tropem, pomiędzy kolejnymi próbami nawiązania kontaktu, przeszukałem Internet w poszukiwaniu informacji o tym, jak politycy i urzędnicy państwowi skutecznie unikają połączeń telefonicznych.

Bell na to by nie wpadł...

Nie udało mi się przeprowadzić ciekawego wywiadu z Posłem, do czego zobowiązałem się w wyznaczonym na kolegium redakcyjnym terminie. Może w zamian przynajmniej podzielę się zebranych informacjami. Instrukcja typu „krok po kroku”, a pozwalająca w prosty sposób zablokować niechciane połączenia, może być użyteczna dla każdego. Możemy wykorzystać ją do osłony przed „atakami” ze strony niechcianych adoratorek lub adoratorów, a także natarczywych telefonów od akwizytorów.

Większość ludzi zamożnych, do których z całą pewnością możemy zaliczyć polityków i urzędników państwowych, używa telefonów firmy Apple, dlatego instrukcja dotyczyć będzie tego telefonu i jego systemu operacyjnego. Procedura jest prosta i składa się z trzech kroków:

Krok pierwszy.

Otwórz aplikację „Ustawienia”, która znajduje się w pierwszym ekranie początkowym i wejdź w zakładkę: „Nie przeszkadzać”.

Krok drugi.

Należy włączyć opcję „Ręcznie” – to uaktywni tryb „Nie przeszkadzać” i na górnym pasku pojawi się ikona półksiężyca. Następnie należy wybrać zakładkę „Rób wyjątki dla”. Domyślna opcja dla tej opcji dotyczy kategorii „Ulubione” (dotyczy to naszych kontaktów).

Krok trzeci.

Po wyborze opcji „Rób wyjątki dla” otworzy się strona wyboru. Jeżeli pozostawi się opcję domyślną „Ulubione”, telefon będzie realizować połączenia wykonane jedynie przez te kontakty, które zostały dodane do listy ulubionych. Jako że niewielu użytkowników telefonu dba o właściwą zawartość tej listy, dla wygody proponuję wybór opcji „Wszystkie kontakty”. Wtedy uzyskamy pewność, że nie pominiemy połączenia od nikogo istotnego. Większość z nas do książki telefonicznej wprowadza tylko ważne dla nas numery.

Po zastosowaniu tricku, polegającego na sprytnym wykorzystaniu trybu „Nie przeszkadzać”, nasz telefon przestanie dzwonić oraz wibrować – całkowicie zignoruje połączenia od wszystkich tych, którzy znajdują się poza waszą książką kontaktów.

Jestem przekonany, że ten trick pozwala politykom i urzędnikom skutecznie ignorować nasze wysiłki dotarcia do nich ze sprawami. Jedyny naprawdę skuteczny sposób przekazania im informacji to karta do głosowania, a nie telefon ■



fot. pixaby.com

MISIATA DZIESIĄTKA

Kiedy przesadzam z roszczeniami domowymi, matka unosi brew i mówi „Misiaty, nie przeginaj”. Mnie ostatnio brew sięga linii włosów, kiedy patrzę na wyczyny władców naszego kraju. Stąd właśnie „Misiata Dziesiątka”.

Michał Ruszczyk

1 Schizofrenia

W tym roku w Polsce będzie wielka feta z okazji rocznicy odzyskania niepodległości. Nie sama impreza jest jednak ważna, ale fakt, że jedynie słuszeni patrioci do tej pory nie mogą ogarnąć, kiedy tak naprawdę kraj księcia Mieszka i prezesa Jarosława tę suwerenność odzyskał. Raz opowiadają, że pół wieku temu nie było ani antysemityzmu, ani państwa polskiego. Innym razem degradują generałów LWP, jakby to była taka sama armia jak dziś. Nasza niepodległość raz ma sto lat, to znów dwa i pół. Człowiek w tej radosnej schizofrenii patriotycznej zaczyna marzyć o jak najdłuższych przerwach na reklamę w spektaklu „Suwerenna Polska”.

2. No i nie pomogło

Na Woodstocku dochodzi do gwałtów, WOŚP to herezja, a Owsiak komunista i złodziej. A jednak znów udało mu się pobić ubiegłoroczny rekord. Jak widać, rząd nie pomógł swojemu elektoratowi, a ojciec dyrektor będzie musiał znowu zabrać się do szukania bezdomnych. Może tym razem znajdzie takiego z milionami zamiast samochodu.

3. SOP

Rozpoczęła działalność nowa organizacja, która ma chronić VIP-ów lepiej niż BOR. Trzeba przyznać, że progres jest. Przez miesiąc od czasu powołania SOP-u na drodze służb stanął tylko separator.

4. Dobra dyplomacja

PAD i PACyn dostali zakaz wchodzenia do Białego Domu. Przez dwa lata jedynie słusznej dyplomacji odnotowaliśmy największy postęp od czasów pierwszych Polan. Zostaliśmy nominowani do Złotych Malin obok takich gwiazd jak Kim Dzong Un, Osama Bin Laden i Kaddafi. Wygląda na to, że nasze gwiazdy gotowe są odebrać nagrody, byleby je tylko wpuszczono do Białego Domu.

5. Jesteśmy dumni

„Możemy być dumni z wydarzeń marca 68” – powiedział PACyn. No cóż, trzeba mu przyznać rację: możemy być dumni, że zrobił tylko magisterkę z historii, bo mógłby jeszcze zawyżyć poziom intelektualno-badawczy jedynie słusznych historyków.

6. Biednie i głodno

Miało być tak pięknie – pokora i praca. A wyszło jak zwykle – za osiągnięcia rządu Beaty Szydło należą się duuuużę premie. I słusznie, gdyż wcześniej ministrowie przymierali głodem. Jarosław Gowin poinformował, że gdy był ministrem za rządów

PO, nie starczało mu do pierwszego i głodował wraz z dziećmi. 38 mln osób wylało falę hejtu na ubogiego i wygłodniałego, a wystraszony PACyn musiał zredukować liczbę stanowisk w rządzie i zadeklarował zwrot nagrody na cele charytatywne. Inni nawet nie zauważyli, że coś im na konto wpłynęło. Przydałyby się promocyjne wizyty u okulisty.

7. Terrorystka

Klaudia Jachira, która na swoim blogu ośmieliła się kpić z działań najlepszej zmiany, otrzymała zarzuty prokuratorskie za... znieważenie TVP. Kurwizja podniosła raban z powodu przyklejenia logo telewizji do narzędzia, które przypomina szczotkę klozetową (a może to był jednak mikrofon?).

Pani Jachira wyraziła tylko pogląd, że logiem tejże telewizji można czyścić kible po wyłączeniu telewizora i wysłuchaniu blond piękności prezesa – (ko)kotki Ogórek.

8. Hipokryzja

PIS i „prolajferzy” krzyczą, że antykoncepcja to wymysł szatana. Nasi władarze zafundowali zatem społeczeństwu tradycyjną i zgodną z doktryną katolicką metodę antykoncepcyjną – kalendarzyk handlowy. Teraz, żeby zrobić zakupy w niedzielę, trzeba będzie sprawdzać, kiedy handel ma dni płodne.

9. Skuteczność

Polska jest, jak wiadomo, demokratycznym państwem, choć z demokracją ma tyle wspólnego, co Piotrowicz z podpisaniem Porozumień Sierpniowych.

Jednak opozycja nadal co najwyżej spaceruje z różyczkami na kolejne manifestacje, ze skutecznością podobną do tej przy próbach zdobycia K2 zimą.

10. AntyPiS

Naród chce zjednoczenia. Krzyczy: „Zróbmy Majdan!”. No, dobra, zróbmy... Patrząc na kondycję dzisiejszej opozycji oraz świadomość obywatelską, prędkiej Majdan zrobią w Korei Północnej, a pomogą im Trump i Putin, odgrywając role dobrych wróżek.

Pora już skończyć bajkę o dobrym i nieszczęśliwym AntyPiSie i zaproponować coś konstruktywnego, bo będziemy mieli wybory jak w Rosji.

I to by było na tyle. Good bye and good luck. Dopóki jeszcze mamy wolne media... ■

ROWEREM NA PRAGĘ

Jak podróżujecie do pracy? A jak przemieszczacie się w weekendy? Wybieracie komunikację miejską czy samochód? A może wygodniej jest wam na rowerze? Niezależnie jak przemierzamy ulice miast i wsi, to nasze wybory mają przełożenie również na innych uczestników ruchu i środowisko naturalne.

Konrad Koniarz



fol. Konrad Koniarz

Dzięki inwestycjom w infrastrukturę rowerową wzrasta nie tylko komfort podróżowania na jednośladach, ale również – o czym często się zapomina – rosną również szanse na zmniejszenie korków na drogach, redukcję smogu i poprawę kondycji fizycznej.

Stan infrastruktury rowerowej najlepiej analizować w mikroskali – właśnie dlatego zaczynam od rodzimego podwórka, czyli dzielnicy Praga-Południe Miasta Stołecznego Warszawy. Według Warszawskiego Raportu Rowerowego, na Pradze-Południe jest 31,4 km tras rowerowych (stan na 2015 r.). Liczba ta stawia nas wyżej niż Bielany, Mokotów, Śródmieście, Targówek i Ursynów. Jeżeli jednak zestawimy to z liczbą mieszkańców, wypadamy blado – wygrywamy jedynie z ... Rembertowem i Wolą¹.

A co ze stacjami Veturilo? Aż 10 z nich (na 24²) nie jest zlokalizowanych przy ścieżkach rowerowych. Jeździmy po drogach razem z samochodami lub ... po chodnikach (nie polecam).

Faktyczny stan infrastruktury rowerowej na Pradze-Południe (podobnie jest w całej Warszawie) cechuje się brakiem spójności. Długofalowa wizja, zmieniana co kilka lat, pozostaje na papierze. Program rozwoju tras rowerowych Warszawy do roku 2020³ (2013) zakładał budowę na Pradze-Południe m.in. dwóch tzw. korytarzy. Dziś wiemy już, że próżno czekać na inwestycję na ul. Grochowskiej. Trasa rowerowa w Al. Waszyngtona natomiast została uzależniona od budowy linii tramwajowej na Gocław (źródło: Pełnomocnik Prezydenta m.st. Warszawy ds. komunikacji rowerowej). Czy ktoś to jeszcze rozumie?

Działajmy! Wspólnie możemy wpływać na propagowanie idei transportu rowerowego i zachęcać samorządowców do wykorzystania potencjału transportu rowerowego.

Dobrze, dobrze. Powiecie zapewne: „Krytykować potrafi każdy”. Otóż proszę – poniżej lista pomysłów co warto zrobić na Pradze-Południe:

- Nowe trasy rowerowe w Al. Waszyngtona i ul. Grochowskiej oraz rozwój infrastruktury w okolicach Stadionu Narodowego i Parku Skaryszewskiego – tam lubimy jeździć
- Pomysł na ruch rowerowy na ul. Francuskiej
- Rozwiązania typu Bike&Ride, gdzie można zostawić rower w bezpiecznym miejscu i przesiąść się do metra
- Spójna infrastruktura rowerowa, bez tzw. teleportów oraz bez negatywnego wpływu na innych uczestników ruchu. Tam, gdzie drogi są wąskie, lepiej zbudować nową trasę rowerową niż wytyczać ją po istniejącej już drodze
- Trasy rowerowe muszą spełniać generalne standardy dla Warszawy, również w zakresie bezpieczeństwa
- Słuchać cyklistów, którzy na co dzień korzystają z tras rowerowych (np. forum „Rowerem na Pragę, Rowerem na Gocław”)
- Promowanie idei ruchu rowerowego. Przykładem takich działań jest Piknik Rowerowy, zorganizowany przez Nowoczesną w 2017 r. Jego celem było promowanie zdrowego stylu życia oraz zachęcanie samorządowców do dalszych inwestycji w infrastrukturę rowerową.

Niezależnie od tego, jak sprawnie będzie można przemieszczać się na rowerze, to nigdy nie wyeliminuje to ruchu samochodowego. I dobrze. Zrównoważony transport powinien zapewniać każdemu uczestnikowi ruchu optymalny środek transportu. Czy warto? Dla przykładu krótka statystyka: w 2015 r. w Warszawie zarejestrowano niemal 200 tys. samochodów. W tym samym czasie powstały tylko 52 km tras rowerowych. Efekt tego mieszkańcy stolicy odczuwają codziennie stojąc w korkach.

Na koniec wisienka na torcie: do Urzędu Dzielnicy Praga-Południe nie jest łatwo dojechać rowerem. W jego okolicy do dziś nie wytyczono ścieżek rowerowych.

Tak sytuacja wygląda z perspektywy Warszawy. Jeżeli zechcecie podzielić się swoimi doświadczeniami w tym obszarze – proszę o kontakt na adres redakcji. ■

Do zobaczenia na trasie!

1 – „Warszawski Raport Rowerowy 2015” dostępny w serwisie rowery.um.warszawa.pl

2 – Źródło: Veturilo, www.veturilo.waw.pl/mapa-stacji

3 – <https://rowery.um.warszawa.pl/strategie-i-plany>

GDYBY BRUKSELA NIE BYŁA ŚWIATOWĄ STOLICĄ CZEKOLADY...

Czym byłaby Bruksela, gdyby nie czekolada? Stolicą Europy? Mekką koronczarek czy ziemią obiecaną muzułmanów? Tym wszystkim: miastem multikulti!

Andrzej Cur



fot. pixaby.com

Zlotniska: Co można myśleć o stolicy Europy i malutkiego państwa, które jeszcze parę lat temu chciało samo się podzielić na połowę: francuską i flamandzką...?

A więc wylądowaliśmy i biegiem na przystanek: w busie z lotniska dowiedziałem się z opowieści – po rosyjsku – gruzińskiego kierowcy, byłego nauczyciela z Tbilisi, że Saakaszwili to tylko

nabija sobie kieszenie i ucieka teraz po całej Europie (jego żona ma międzynarodowe obywatelstwo) ...a w ogóle to, jak mu potwierdziła nasza mołdawska współtowarzyszka podróży, polityka tylko dzieli ludzi, bo: „wszyscy chcemy po prostu dobrze zarabiać i spokojnie żyć”. Sama zaczynała budować swoje lepsze życie w Cieszynie, przy mężu pracowniku polskiej budowy. Później w Salonikach, gdzie kupiła swoje pierwsze mieszkanie i teraz w Brukseli, gdzie najlepiej zara-

bia, wraz z koleżanką Urszulą z warszawskiej Woli... a tak przy okazji to zabierze nas w niedzielę autem do Waterloo, bo tam pięknie jest!” Pełna akceptacja i pomoc w zwiedzeniu po 10 minutach jazdy busem...

Bazylika „opaczności”

Belgijskie „Pola Elizejskie” rozciągają się pięknym parkiem i szerokimi alejami, których zwieńczeniem jest bazylika

pod wezwaniem Najświętszego Serca – największy kościół na świecie w stylu art déco. Król Leopold II „miał sen” i go realizował od 1880 r. To znaczy realizowali jego poddani: budowę zakończono w 1969 r. – tę świątynię wdzięczności króla za wolną Ojczyznę budowano prawie 100 lat, a dziś w niedzielę świeci pustkami. Jeśli dobrze policzyłem, to na mszy było 36 osób, stary proboszcz... i pies. Najważniejszy jest... taras z widokiem na całą stolicę, do „paczania”. Można tam się dostać nowoczesną windą i cieszyć się większą frekwencją niż msza poniżej... Amen.

„Koronkowa robota”

Przed hotelem, po wyjściu z metra zaczęli nas młodzi uśmiechnięci chłopcy i zapytali, skąd jesteśmy. Uśmieśliśmy się, że z Holand-Poland i „walensa” i nauczyli nas przybijać „piątki” po ich niemu: prawą dłonią z wykopem lewej nogi ... a jeden z nich dyskretnym ruchem sprawdził, czy na lewym nadgarstku mam zegarek: nie miałem. Na szczęście spoczywał w kosmetyczce żony...

Koronki: z tego słynie Bruksela. Przy rynku głównym jest piękny sklep z koronkami. Weszliśmy, podziwiamy ręcznie haftowane serwety i poduszki w kwiatki: „jak u mojej mamy” komentujemy i sprzedawczynie okazuje się Polką. Krótka wymiana grzeczności: „no i jak się Pani mieszka, tyłu teraz nowych imigrantów, pewnie strach?”. A nie – już się przyzwyczaiłam. W końcu mieszkam tu ósmy rok... Chociaż – wspomina: „w zeszłym roku to mi całą torebkę ukradli. ..Ale ogólnie jest dobrze”. Uśmiech.

Brak bezpieczeństwa ?

Na ulicach dzikie tłumy, w barach i restauracjach gwar. Zajadają grube frytki z majonezem i popijają piwem Kwak (super specjalna szklanka w drewnianym stojaku) oraz piją gorącą czekoladę na deser.

Witryny na Les Galeries Royales Saint-Hubert pełne czekolad, pralin i wielkanocnych jajeczek. Tłumy takie, że przejść się nie da... Leonidas i inne stuletnie marki kuszą bogatymi zestawami. Ktoś krzyczy

na ulicy po polsku, przeklina... czujemy się nieswojo i – po zakupach – szybko się oddalamy do najbliższego zejścia do metra. Tam stoi czterech, w pełni uzbrojonych policjantów oddziałów specjalnych z długą, maszynową bronią. Każdy patrzy w inną stronę. Są raczej doświadczeni niż młodzi, skupieni na swojej pracy. Czujemy się bezpiecznie, są także na każdym dużym dworcu przesiadkowym. Po zamachach są widoczni i dobrze, od tego jest ta służba. Ludzie się kłębią, ale czujemy się bezpiecznie w kolorowym tłumie.

Międzynarodowo- niespodziankowo

Zabieramy walizki i zostawiamy w recepcji – ostatni dzień, wizyta w Euro-parlamencie, po drodze mijaliśmy zawsze ten sam polski bar „Biały Orzeł”. Ddziś dostarczamy „Nasze Czasopismo”, ale rano zamknięte, zatem zapełniamy właścicielowi skrzynkę pocztową, na pewno się ucieszy! Teraz szybko metro, autobus, spacer i już piękne budynki europejskiego parlamentu, szklane ścia-

ny. Przechodnie jacyś śliczni, krawaciarze i białe bluzeczki, teczki dyplomatki, a na białych masztach łopocą flagi całej Europy, wśród nich biało-czerwona. I łezka w oku się zakręciła: na ścianie tablica pamiątkowa „Solidarność” 1980 – naszej Solidarności dziesięciomilionowej.

Ale co tam łzy: kątem oka dostrzegam znajome twarze: po schodach szybko wchodzi: Katarzyna Lubnauer, Miłosz Hodun i Bartłomiej Nowak oraz, bonus, moja liderka. Macham ręką, wołam, podbiegam i witamy się. Ale spotkanie, uśmiechy, uściski. Niespodzianka w ostatni dzień wycieczki, żona robi zdjęcia, dziękujemy i życzymy owocnych rozmów. Owocnych dla Polski na spotkaniach m.in. z przewodniczącym Partii Porozumienia Liberalistów i Demokratów na rzecz Europy (ALDE) Hansen van Balleenem i Guyem Verhofstadtem, przewodniczącym frakcji ALDE.

Do zobaczenia w Polsce, do zobaczenia na Bemowie. ■



fol. Andrzej Cur

DRUKARNIA

FOLDRUK FOLION SP.J.

ul. Poezji 19, 04-994 Warszawa

e-mail: adam@foldruk.pl

www.foldruk.pl

tel. (+48) 22 872 00 54
tel./fax: (+48) 22 872 05 73
tel. kom.: 0 502 223 534

DRUKARNIA



FOLDRUK-FOLION



Świadczymy usługi w zakresie druku offsetowego, sitowego oraz wielkoformatowego. Posiadamy również własną introligatorię.

Oferujemy kompleksową obsługę firm w materiały POS.

Swoim Klientom oferujemy szeroką ofertę usług, wieloletnie doświadczenie oraz wysoką jakość produktów.

Drukujemy:

- broszury
- foldery
- katalogi
- plakaty
- opakowania
- teczki
- materiały POS
- wizytówki
- papiery firmowe

